odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 25 (173)
Łódź, 25-VI. 1961 r.
cena 1 zł

DYSKUSJA O TEATRZE — STR. 2

REPORTAŻ Z DNIA ŚWIĄTECZNEGO na str. 4

Fot. Wiesław Machejko

ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

STAROŚĆ najtrudniejsza

CISZA I SAMOTNOŚĆ

Pani Helena L. jest kierowniczką szkoły w Pałczewie. Mieszka tutaj sama. Córka, po studiach, jest nauczycielką w Łodzi. Syn studiuje. Samotność i cisza są dla pani Heleny koszmarem. Szczególnie podczas długich wieczorów zimowych. A przecież praca na wsi nie jest dla pani Heleny czymś nowym. Pod czas swojej przeszło trzydziestoletniej praktyki pedagogicznej uczyła na wsi z wyjątkiem kilku lat przepracowanych w Nowym Mieście, ale Nowe Miasto to też taka trochę większa wieś. Właśnie z Nowego Miasta przeniosła się p. Helena przed trzema laty do Pałczewa, aby być bliżej córki, która wtedy skończyła studia i została w Łodzi.

Z Nowego Miasta do Łodzi jest 90 km. Z Pałczewa do Łodzi jest ok. 15 km. Tak więc odległość dzieląca p. Helenę od córki została skrócona o blisko 75 km. Niestety, tylko w przestrzeni. W czasie została właściwie zwiększona. Z Nowego Miasta do Łodzi jechało się autobusem dwie i pół godziny. Z Pałczewa do Łodzi jedzie się autobusem godzinę z minutami. Aby jednak wsiąść w autobus, trzeba odbyć godzinny marsz. Przy tym autobus, kapryśne bydlę!, może być przepełniony i wcale nie stanie. Pewniejszy jest tramwaj, a więc półtoragodzinny marsz do Tuszyna, przeszło godzinna jazda tramwajem i jest się na Placu Niepodległości. Tylko że marsz jest męczący, a chłopi za furmankę biorą 30—40 zł i to nie zawsze chcą jechać.

Pani Helena jest więc najczęściej sama. Kiedy poczucie samotności, którego nie rozprasza radio, bardzo jej dokucza, wychodzi na wiejską drogę, skąd widać dymy nad Łodzią. Tam jest jej córka i syn. Sama ich właściwie wychowywała. Mąż w czasie okupacji był w obozie dla jeńców wojennych, a wkrótce po wyzwoleniu zmarł.

Pani Helena chętnie przeszłaby już na emeryturę, ale wtedy musiałaby opuścić służbowe mieszkanie w szkole i zamieszkać w jednym z wiejskich domków. Bezczynność w tej ciszy i samotności stałaby się dla niej niemożliwa do zniesienia.

— Chciałabym być z córką, ale jest ona mężatką i ma jednoizbowe mieszkanie. Właśnie wtedy, kiedy otrzymywała mieszkanie, chciałam przejść na emeryturę i zamieszkać u niej. Byłyśmy obie u przewodniczącego komisji mieszkaniowej przy jednym z łódzkich inspektoratów oświaty. Prosiłam go, aby przyznano córce dwuizbowe mieszkanie, bo mam zamiar przestać pracować. Powiedział mi ordynarnie, że nic go to nie obchodzi.

Szłam do pracy na wieś z prawdziwym zapałem. Wiedziałam, że jestem tam potrzebna. Wpojono w nas to w szkole. Przeraża mnie jednak myśl, że miałabym sama siedzieć na wsi bezczynnie, słuchać wycia wiatru i szczekania psów.

NAUCZYCIEL, ROLNIK, RADNY

Wieś Krzyżanów leży w powiecie piotrkowskim. Długa, prosta droga nie jest osią symetrii tej wsi. Po jednej stronie drogi widzi się rząd wysokich drzew, które zielonym parawanem osłaniają zagrody, po drugiej stronie rzucają się w oczy zagrody niczym nie osłonięte, wystawione na publiczny widok. Tu drzewa wycięto, aby nie zawadzały przewodom elektrycznym, które przebiegają przez całą długość wsi.

Dalszy ciąg na str. 2

HALINA ŻYŻKA

MĘŻCZYŹNI jak KWIATY?

Od lewej koszulka z lekkiej dzianiny półwełnianej do pracy, na spacer, w podróż. Po prawej — wdzianko-sweter o grubych splotach, rękaw raglanowy.

Fot. Antoni Ulikowski

Na wstępie muszą uprzedzić, że nie wierzę w skuteczność walki o godność wdzianek. Jak w ogóle można wymagać dostojeństwa od czegoś, co nazywa się tak zwyczajnie, prostacko — wdziankiem?

... Pan kierownik wdział dzisiaj eleganckie (... wdzianko)"

... Wdziej dziś kochanie to cieplejsze (... wdzianko). Wieczór będzie chłodny.

... Dyrektor ślicznie się dziś odział w beżowe (... wdzianko).

Skoro pół Polski myśli czym zastąpić słowo „week end", proponuję zbiorowe myślenie nad nazwą wdzianka. Niech bije z tego słowa męskość, godność, zaufanie. Niech nawet brzmi nieco z cudzoziemska. Niech się wreszcie zwie jak chce, byle je noszono od rana do wieczora. My zaś zajmijmy się rozprawą o merytorycznej stronie wdzianka. Jego, że tak powiem, istocie, czyli dogłębnym wnętrzu. Chodzi o istotę oraz wnętrze w znaczeniu zarówno dosłownym jak i przenośnym. A więc również o istotę męską, która znajduje się we wnętrzu wdzianka.

— Proszę, daj mi krótką odpowiedź, dlaczego jesteś zwolennikiem wdzianka — rozpoczęłam wywiad z moim, awangardowym pod względem ubrania, znajomym — aktorem.

— Noszę wdzianko dlatego, że nie posiada ono guzików przy rękawach...

— I możesz teraz wycierać nos rękawem?... Przecież guziki przy rękawach marynarek istnieją jedynie w tym celu, aby zapobiec owej swobodzie obyczajów. Tak głosi zresztą historia męskiej mody.

— A więc potwierdzasz zmierzch funkcjonalności guzików i marynarek?

— Najzupełniej.

Każdy argument w walce o wdzianka uświęca chwalebny cel. Do grona więc herosów zaliczam również zwolenników swobodnego wycierania nosa. Oczywiście nie tylko.

Styl wdziankowy świadczy niewątpliwie o postępowych poglądach, o przebiciu murów zacofania i tradycyjnego mniemania, że inspekcje trzeba przeprowadzać w garniturze, konferencję prowadzić w garniturze i w ogóle urzędować — w garniturze, a już

Dokończenie na str. 4

STAROŚĆ najtrudniejsza

Dokończenie ze str. 1

Kiedy opiekę nad umysłami dziecięcymi i nie tylko dziecięcymi Krzyżanowa obejmowali młodzi wówczas nauczyciele Kazimiera i Bronisław Korzeniowscy, nad wsią nie wisiały przewody elektryczne. A że dzisiaj wiszą, niemało w tym zasług pana Bronisława.

Nie było też wtedy drogi takiej, jaka jest dzisiaj. Na tej starej drodze podczas jesiennych deszczów i wiosennych roztopów pani Kazimiera gubiła w błocie kalosze. Znowu pan Bronisław chodził po zagrodach i rozmawiał z chłopami tak długo, aż droga przybrała dzisiejszą postać. Pociągi mijały wtedy Milejów, nie mając najmniejszej ochoty przystawać w szczerym polu. I znowu pan Bronisław zjawił się w chłopskich izbach jako agitator. Owocem tych odwiedzin jest dzisiejszy budynek milejowskiego przystanku kolejowego. Ale światło, droga i przystanek kolejowy są tylko tymi rzucającymi się w oczy dowodami działalności pana Bronisława.

A przecież ileś tam metrów czy kilometrów drenów ukrywa w swoim wnętrzu ziemia. Nie widać ich. O znaczeniu drenarki świadczą plony, które ongiś były niewiadomą, gdyż pola uprawne zalewała często woda, a dziś łatwiej można planować.

Dziwili się swego czasu chłopi, gdy młodzi państwo Korzeniowscy sadzili na przyszkolnej ziemi kapustę. Kapusta w szczerym polu? Ten i ów stukał się palcem w czoło. Kanuste sadziło się z dziada pradziada na wypielęgnowanej ziemi ogródków. Korzeniowskim jednakże obrodziła kapusta w szczerym polu. Przykład chwycił. Pan Bronisław przez wiele lat „kręcił" miejscowym kółkiem rolniczym.

A przecież nie ma w Krzyżanowie analfabetów. A przecież siwiejący już dzisiaj rolnicy dziękują panu Bronisławowi za to, że kiedyś tam, gdy byli „tycimi od ziemi brzdącami" niezbyt w naukach pilnymi, ściągał ich do szkoły za osie uszy. A przecież pan Bronisław był, jak sam mówi, „radnym, zastępcą przewodniczącego, radnym i radnym".

Jest wreszcie masa innych poczynań, które przeszły do nie napisanej historii Krzyżanowa. Do nich należy pierwsze spotkanie mieszkańców wioski z teatrem. Kuchnia państwa Korzeniowskich była sceną, pokój widownią. Scenę oświetlały lampy naftowe, które niejednokrotnie gasił temperament miejscowych aktorów.

Pani Kazimiera jest już na emeryturze. Uczy tylko dwie godziny tygodniowo, chce mieć chociaż mimimalny związek ze szkołą, w której pracowała przez wiele lat. Ale zdarza się, że któryś z nauczycieli zachoruje lub wyjedzie. Do pani Kazimiery dociera wtedy wieść, że w którejś tam klasie dzieci siedzą same. Zawsze odkłada na później nawet tak pilną pracę domową jak przygotowanie obiadu i biegnie do dzieci.

Pan Bronisław ma za sobą 39 lat pracy nauczycielskiej. Już od czterech lat przysługuje mu prawo przejścia na emeryturę. Ma jednak w sobie tyle energii, że nadal kieruje krzyżanowskim „kombinatem" szkolnym. „Kombinatem", gdyż szkoła mieści się jeszcze w dwu drewnianych chatach, które dzieli około kilometrowa (chyba niewiele przesadziłem) odległość. Pan Bronisław szykuje się więc niecierpliwie do budowy nowej szkoły. Plany już zatwierdzono.

Wiele spraw łączy państwa Korzeniowskich ze wsią. Są tutaj lubiani i szanowani. A jednak nie zostaną oni na wsi.

— Poczta daleko, sklep daleko, apteka daleko. W razie choroby trzeba jechać do Piotrkowa. Nie, taka zabita deskami wieś to nie miejsce dla starszych ludzi — mówi pan Bronisław.

— Myśleliśmy zawsze o starości — mówi pani Kazimiera. — Mamy nawet własny domek zbudowany dzięki oszczędnościom, ale lokatorzy nie chcą go opuścić.

Korzeniowscy jakoś sobie jednak poradzą. Liczą na własne dzieci. Te dzieci — dorośli, wykształceni ludzie na stanowiskach — pomogą im osiąść w mieście.

ON SAM I ICH 240

Juliusz Wawrzynkowski, rozpoczynając przed czterdziestu sześciu laty pracę w Zwierzyńcu w powiecie bełchatowskim, uczył 240 dzieci. Ta dwustuczterdziestogłowa horda dziecięca „najeżdżała" codziennie szkołę trzema osiemdziesięcioglowymi watahami. Pan Juliusz jako jedyny nauczyciel szkoły zwierzynieckiej dzielnie odpierał te najazdy od roku 1915 do 1922. Za dobre wyniki pracy w tych nadludzkich, jak się dzisiaj wydaje, warunkach został wyróżniony nagrodą pieniężną i pochwałą na Zjeździe Nauczycielskim w r. 1922.

W tymże roku osiadł w Woli Krzysztoporskiej, gdzie pracuje do dnia dzisiejszego jako kierownik szkoły, do zbudowania, której sam dokładał starań.

Pan Juliusz poza pracą szkolną był zapalonym działaczem ruchu spółdzielczego. W ciągu 24 lat pełnił funkcję prezesa Zarządu Robotniczej Spółdzielni „Społem" w Woli Krzysztoporskiej. Tam już w roku 1925 ponieśli klęskę prywatni sklepikarze. Tam w roku 1935 spółdzielcy zbudowali własnymi środkami finansowymi piętrowy dom, w którym poza dwoma sklepami, mieszkaniami dla wychowawczyni przedszkola i dla ekspedientki oraz częścią szkoły podstawowej mieściła się świetlica spółdzielcza. Świetlica ta była ośrodkiem miejscowego życia kulturalnego. Inicjatorem budowy tego domu, o czym informuje tablica pamiątkowa umieszczona na jego ścianie, był pan Juliusz Wawrzynkowski.

Domem zarządza obecnie Samopomoc Chłopska. Nad tablicą pamiątkową wisi dzisiaj szyld gospody, ale nikt nie ma prawa wnioskować na tej podstawie, że zaprzepaszczono w ten sposób piękne dzieło pana Juliusza, ani też sądzić, że nauczyciel dokładał ręki do budowy gmachu karczemnego, albowiem pan Juliusz w latach 1954—57 był prezesem Komitetu Budowy Domu Kultury i w tym właśnie domu mieści się obecnie świetlica.

Pan Juliusz rozpoczął pracę nauczycielską w roku 1915. Od tego czasu nigdy nie chorował i nie korzystał z urlopów zdrowotnych. W roku 1935 odznaczono go Srebrnym Krzyżem Zasługi i dyplomem uznania, w roku 1956 — Odznaką Zasłużonego Działacza Ruchu Spółdzielczego.

Córka i syn pana Juliusza są inżynierami. Córka pracuje w Łodzi, syn w Woli Krzysztoporskiej. Pan Juliusz mówi jednak o trudnościach mieszkaniowych związanych z ewentualnym przejściem na emeryturę. Nie zawsze dzieci mogą służyć pomocą w tym zakresie.

MOŻNYM POD ROZWAGĘ

Po iluś tam latach pracy trzeba odpocząć. Człowiek najlepiej wypoczywa wtedy, kiedy jego pragnienia, często bardzo skromne, zostały zaspokojone. Czego pragną starzy nauczyciele wiejscy?

Jedni nie pragną właściwie niczego. Czują się na wsi bardzo dobrze, cisza im służy, jak np. pani Walerii Markowiak z Woli Zaradzyńskiej. Inni mają na wsi własne domy i czują się zupełnie u siebie. Jeszcze inni, jak np. pani Helena S. z Józefowa, chcieliby po przejściu na emeryturę mieszkać w wioskach położonych bliżej miasta, ale nie w mieście, przy jakimś wygodnym szlaku komunikacyjnym, aby mogli częściej odwiedzać teatry i kina. Są tacy, którzy po latach tułaczki po najrozmaitszych wioskach pozbawionych światła elektrycznego, nieskanalizowanych, o małych, mrocznych izdebkach pragną odpocząć w jakichś możliwie kulturalnych warunkach mieszkaniowych, ale też nie w mieście jak np. państwo Witkowscy z Kurowic. Są wreszcie tacy, którzy po spełnieniu swego obowiązku na wsi chcieliby zamieszkać w mieście. Jednak miasto nie jest w tym wypadku symbolem snobizmu. W mieście są ich dzieci, no i w mieście łatwiej chyba żyć starszemu, samotnemu człowiekowi. Sklepy, apteki, lekarzy, kina, teatry ma się pod ręką.

Pragnień tych nie można chyba nazwać wygórowanymi. A jak je zaspokajano? Przechodzącemu na emeryturę nauczycielowi wiejskiemu daje się mieszkanie zastępcze gdzieś u chłopa i to właściwie wszystko. Dochodzi jeszcze tylko naturalny, folklorystyczny dodatek w postaci porykiwania bydła, szczekania psów i wycia wiatru. Stworzona z tych dźwięków symfonia bezczynnego przemijania, wysłuchiwana w samotności, nie jest przyjemną dla odbiorcy. Na bezczynność najlepsza praca, więc nauczyciele pracują tak długo, jak długo zdrowie im pozwala. Nadchodzi jednak czas, kiedy już pracować nie można i wtedy nauczycielom pozostają już tylko ich własne dzieci, ale dzieci często niewiele mogą pomóc rodzicom.

Mieszkańcy wsi niejednokrotnie dają nauczycielom dowód swej życzliwości. Pielęgnują ich podczas choroby, wiozą do lekarza, zwożą opał na zimę. Pamiętają też o nich dzieci szkolne, przynosząc (za podszeptem czynnych wychowawców) kwiatki w Dniu Nauczyciela. Wszystko to jest jednak przypadkowe, niezorganizowane albo tylko symboliczne. Sprawą tą powinny się zająć gromadzkie rady narodowe, albo może lepiej komitety rodzicielskie.

Niechby ktoś z komitetu zajrzał do nich od czasu do czasu i porozmawiał o kłopotach, postarał się im zaradzić. Niechby dzieci szkolne załatwiały im na zmiany zakupy, bo przecież do sklepu wiejskiego często jest dość daleko, czy też nosiły wodę, bo i studni może nie być w podwórzu. Można by też chyba pomyśleć o telewizorach dla tych nauczycieli, żeby im ten wiejski pobyt bardziej ucywilizować. Przecież wielu z nich z pewnością na to zasłużyło. Zasłużyli też chyba na taki skarb współczesny, jak mieszkanie w mieście. Mówi się od pewnego czasu o budowie domów dla zasłużonych nauczycieli. Możliwe zatem, że już w niedalekiej przyszłości wielu z nich ten „skarb" otrzyma.

ZBIGNIEW SIEMIŃSKI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„BEZ DEMONIZMU I SKANDALU"

ROZMOWY O POLITYCE KULTURALNEJ

Dyskusja nad repertuarem teatrów łódzkich w bieżącym sezonie wybuchła na łamach „Odgłosów" gwałtownie i choć trwa niedługo, wyzwoliła wiele namiętności. Ma to swoje dobre i złe strony. Dobre, gdyż nie ma nic żałośniejszego jak dyskusja nie angażująca emocjonalnie. Złe, gdyż zapalczywość łatwo rozmija się z obiektywizmem. Niektórzy dyskutanci w fermorze polemicznym wzięli rozbrat z faktami, pamiętając tylko o tych, które mieściły się w z góry założonych tezach. A przecież czytelnik może mieć do autorów słuszny żal za każdy przejaw dezinformacji.

Nie chciałbym być pomówiony o pedantyzm, ale za grzech pierworodny dyskusji o repertuarze uważam brak przypomnienia na wstępie czytelnikowi, jakie to sztuki wystawiły w sezonie 1960/61 łódzkie teatry dramatyczne. Pamięć ludzka jest zawodna, a repertuar oceniać można dopiero mając przed oczyma wszystkie tytuły sztuk wystawionych. Nie znalazłszy zestawienia repertuaru na łamach „Odgłosów", sam zabawiłem się w sporządzenie tabelarycznego spisu. Oto rezultat tej pracy: (Patrz tabela poniżej):

Spis zajmuje sporo miejsca, ale lektura jego wydaje mi się pożyteczna. Dla mnie osobiście, choć z grubsza orientuję się w sztukach granych przez łódzkie teatry, pełne ich zestawienie było swego rodzaju zaskoczeniem. Ale zanim przejdę do komentarza, pozostańmy jeszcze przez chwilę w sferze faktów.

Cztery teatry dramatyczne dały (lub dadzą do końca sezonu) łącznie 28 premier dla dorosłego widza i 4 bajki dla dzieci. „Poślizgiem" z poprzednich sezonów grano dalszych 10 sztuk. Z 23 premier przypada na:

klasykę obcą — 7,
klasykę polską — 5,
sztuki współczesne obce—8,
sztuki współczesne polskie — 8.

Z zestawienia wyczytać również można, że 10 tytułów (więc ponad 35%) stanowią prapremiery, względnie prapremiery polskie. Wreszcie w liczbie prapremier znajdują się 4 sztuki autorów łódzkich (Kożusznik, Obidniak, Orłowski, Rymkiewicz). Jeśli raz jeszcze uciec się do matematyki, to prapremiery łódzkich autorów stanowią przeszło 15% wszystkich premier.

Czy jest zatem sens przypuszczać atak na dyrekcje teatrów z pozycji obrony interesów łódzkich autorów dramatycznych w sezonie, w którym co siódma premiera wywodziła się z lokalnej twórczości? Przynajmniej moment wybrany został nienajszczęśliwiej, a ukutemu w tym celu terminowi „teatr na pustyni" przeczą oczywiste fakty.

Prawdopodobnie fakt, że sezon obecny obfitował jak żaden dotąd w inscenizacji łódzkiej produkcji dramatycznej, nie jest wyłącznie zasługą kierownictw artystycznych teatrów. Jest on raczej pochodną rozwoju twórczości dramatycznej w naszym mieście. Jeszcze kilka lat wstecz o pisarstwie tego typu było w Łodzi cicho. A dziś mówi się o sztukach scenicznych pisanych przez łodzian. I to mówi coraz głośniej. Jest to proces rozwojowy niezmiernie pozytywny, pozwalający optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Pamiętajmy jednak, że sprawa włączenia sztuki do repertuaru teatru nie jest prosta. Dzieło może być dobre a teatr może nie mieć dlań obsady. Albo nie można znaleźć reżysera, któremu sztuka leżałaby na linii zainteresowań twórczych. Czasem na wystawienie trzeba czekać i parę lat. Znam pewnego poważnego pisarza z Warszawy (nazwisko mogę zdradzić redakcji), który od kilku lat ubiega się o prapremierę swej sztuki w jednym z teatrów łódzkich. Sztuka jest zaakceptowana do grania, a jednak termin jej wystawienia przesuwa się. Cierpliwość wspomnianego autora jaskrawo kontrastuje z nerwowością dyskutanta, który domaga się wystawiania sztuk łódzkich autorów w jak największej ilości i za wszelką cenę.

I tu właśnie nie ma zgody. Nie można wysuwać wobec teatrów łódzkich obowiązku wystawiania sztuk miejscowych dramaturgów. Obowiązek taki nie istnieje i istnieć nie może. Prowadziłby on bowiem do zawężenia repertuaru, a co za tym idzie do jego wyjałowienia i dekadencji. Zgadzam się z głosem S. Kaszyńskiego że bronić należy nasze teatry przed prowincjonalizmem i zaściankowością. Na ich sceny muszą znajdować drogę przede wszystkim sztuki dobre, a w ich liczbie także i sztuki pisarzy łódzkich, ale na równych prawach. Postulat

Dokończenie na str. 6

Repertuar teatrów łódzkich w sezonie 1960/61

TEATR NOWY Duża Scena	TEATR NOWY Mała Scena	TEATR IM. STEFANA JARACZA	TEATR POWSZECHNY	TEATR 7,15
Premiery				
1) W. Szekspir „Juliusz Cezar"	1) S. Mackiewicz J. M. Rymkiewicz „Album jednoaktówek"	1) A. Fredro „Zemsta"	1) J. Słowacki „Fantazy"	1) H. Sienkiewicz „Zagłoba swatem"
2) B. Brecht „Opera za 3 grosze"	2) Arystofanes „Żaby"	2) B. Brecht „Strach i nędza III Rzeszy"	2) J. Anouilh „Skowronek"	2) L. H. Morstin „Obrona Ksantypy"
3) J. Biliński „Pan Damazy"	3) W. Gibson „Dwoje na huśtawce"	3) L. Tołstoj „Żywy trup"	3) S. Howard „Serca w matni"	3) A. Suchowo-Kobylin „Śmierć Tarelkina"
4) W. Orłowski „Sprawiedliwość w Kioto" (w przygotowaniu)	4) W. Sokorski „Ucieczki"	4) W. Bogusławski „Krakowiacy i górale"	4) J. Lutowski „Okulary"	4) E. Labiche, L. Martin „Podróż Pana Perichona"
	5) A. Czechow „Trzy siostry"	5) T. Kożusznik „Kocha, lubi, szanuje"	5) A. Marianowicz J. Minkiewicz „Wesołe miasteczko"	5) C. Goldoni „Osobliwe zdarzenie"
		6) J. Giraudoux „Ondyna"	6) M. Gyarfas „Nawrócony diabeł"	
		7) K. Obidniak „Dark Glory" (w przygotowaniu)	7) T. Williams „Tramwaj zwany pożądaniem" (w przygotowaniu)	
Sztuki grane z poprzedniego sezonu				
5) W. Szekspir „Hamlet"	6) J. Szaniawski „Most"	8) J. Słowacki „Kordian"	8) D. Fo „Archaniołowie nie grają w bilard"	
6) Z. Skowroński „Kuglarze"	7) Platon „Obrona Sokratesa"	9) L. Kruczkowski „Pierwszy dzień wolności"	9) K. Czapek „Z nadmiaru miłości"	
	8) Ch. Povret-Chappuis „Judyta"			
	9) J. Warmiński „Człowiek z głową"			
Bajki dla dzieci				
		10) M. Konopnicka „O krasnoludkach i sierotce Marysi"	10) C. K. Andersen „Królowa śniegu"	6) „Noc zimowa"
			11) „Jaś i Małgosia"	

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„WYZWANIE"

Asystent reż. Emmera przy „Sierpniowej niedzieli" i Viscontiego przy „Zmysłach" — Francesco Rossi zadebiutował „Wyzwaniem" w roku 1958. W tym samym roku jego pierwszy film zdobył „Srebrnego Lwa" na Międzynarodowym Festiwalu w Wenecji. W swej twórczości Rossi pozostał wierny naukom i metodzie twórczej swego mistrza Emmera. Podobnie jak on nie szukał tematu powierzchownego i atrakcyjnego dla widza, lecz wziął na warsztat na pozór temat nieciekawy — „zielony rynek", handel owocami i zieleniznę. Dowiódł, że nawet w tej dziedzinie życia przewagę zyskuje silniejszy i sprytniejszy, działający bardziej wyrafinowanymi metodami.

Okazuje się, że prawo konkurencji, dyktat cen ze strony mafii handlarzy warzywami w Neapolu, jest nie tylko bezwzględny ekonomicznie, bijąc po kieszeni słabszych, ale również zbrodniczy. Młody, sprytny chłopak pragnie wykorzystać popyt na warzywa w mieście i zbić na tym interes, tym bardziej, że żeni się z piękną dziewczyną, której chce zapewnić luksusowy byt i mieszkanie. Próbuje więc różnych sposobów zdobycia pieniędzy. Wyłamuje się spod „opieki" mafii. I oto wyzwanie rzucone jej członkom zostaje podjęte i krwawo skwitowane.

Reżyser nie operuje tutaj uogólnieniami, ukazuje po prostu dramat człowieka osaczonego, nie szuka neorealistycznej brzydoty domów, ulic i ludzi z neapolitańskich przedmieść. Relacjonuje, daje obraz działania mafii. Nie silí się na błyskotliwość, a stwarza typy ludzkie umiejętnie je różnicując. Akcja filmu toczy się w dobrym tempie. Zasługa to nie tylko reżysera, ale również aktorów, wśród których wymienić należy znanego z hiszpańskiej „Głównej ulicy" — Jose Suareza w roli Vita. Obok niego prezentuje swe wdzięki urocza Rossana Schaffino oglądana na naszych ekranach po raz pierwszy.

Z filmu „Wyzwanie".

Dawn Adams — partnerka Chaplina w jego filmie — „Król w Nowym Jorku".

EKRANIK

ANDRZEJ MUNK nie będzie na razie kręcił filmu o Marysieńce Sobieskiej, realizacja została odłożona na rok przyszły. Decyzję tę spowodowało szereg obiektywnych trudności: barwny, szerokoekranowy film historyczny wymaga solidnej dokumentacji i żmudnych przygotowań. Ponadto — nasza kinematografia nie dysponuje świetną taśmą systemu „Eastmancolor", której chciał użyć reż. Munk.

„DZIEWCZYNA Z OKNA" — to tytuł nowego filmu Luciano Emmera, wybitnego włoskiego reżysera, którego pamiętamy jako twórcę „Sierpniowej niedzieli". Tym razem Emmer odszedł od ulubionego przez siebie stylu migawek reportażowych: nowy film opowiada o losach emigranta z Włoch, który pracuje jako górnik w jednej z kopalni holenderskich. Vinzenzo — takie imię nosi bohater — przeżywa dramatyczną, a jednocześnie piękną miłość do młodej Holenderki, tragicznie doświadczonej w latach minionej wojny. Jak podkreślają francuscy recenzenci, którzy bardzo chwalą ten film — Emmer podejmując temat „trudnej" młodzieży ustrzegł się efekciarstwa, rewolwerowych chwytów, pesymizmu — i stworzył opowieść pełną poezji, prostoty i prawdy. Szczególnie wysoko oceniane są role pary kochanków kreowane przez Marinę Vlady i Bernarda Fresson.

NIEZWYKLE ATRAKCYJNIE zapowiada się ponoć barwny reportaż filmowy z ubiegłorocznej wyprawy polskich alpinistów w góry Hindukusz. Realizatorem filmu i autorem brawurowych zdjęć jest Sergiusz Sprudin.

DINO DE LAURENTIS — najpotężniejszy z europejskich producentów filmowych — nosi się z zamiarem nakręcenia ekranizacji... biblii (!). Ma to być film w sześciu seriach, w sumie 10 godzin projekcji... Laurentis chce powierzyć realizację sześciu reżyserom z Włoch, Francji i USA. Ich nazwiska trzymane są jednak na razie w tajemnicy. Zdjęcia kręcone mają być w Afryce, Jugosławii i Włoszech, gdzie koszta realizacji są stosunkowo najniższe. Jeśli zamierzona produkcja dojdzie do skutku — będzie to największe przedsięwzięcie w dziejach kinematografii europejskiej. Powodzenie (przynajmniej finansowe) całej imprezy jest chyba zapewnione; jak wykazała praktyka ostatnich lat — w konkurencji z telewizją najlepiej procentują właśnie superfilmy — barwne, kostiumowe, na szerokim ekranie, adaptacje znanych pozycji literackich. Dowodem na to jest choćby wielki sukces kasowy „Krzyżaków" w Paryżu.

DONALD

7 KIN PANORAMICZNYCH w WOJ. ŁÓDZKIM

Od października 1960 r. do chwili obecnej województwo łódzkie posiada 7 kin panoramicznych, a mianowicie: „Czary" — Piotrków Tryb., „Hutnik" — Piotrków Tryb., „Metalowiec" — Radomsko, „Gdańsk" — Rawa Mazowiecka, „Przyjaźń" — Zgierz, „Olimpia" — Łęczyca i „Mazur" w Pabianicach.

Ponadto w dzień 22 lipca br. zostanie otwarte po przebudowie panoramiczne kino „Tkacz" w Zduńskiej Woli.

Jeszcze w tym roku planowane jest przystosowanie do projekcji panoramicznej kina „Odra" w Wieluniu.

Wojewódzki Zarząd Kin skonstruował ponadto pierwszą w kraju przenośną panoramę objazdową. Zostały dokonane odpowiednie przeróbki normalnej aparatury projekcyjnej TK-35 oraz skonstruowano przenośny, składany ekran panoramiczny. Ruchome kino panoramiczne wyruszyło już w teren w powiat wieruszowski i wyświetla z dużym powodzeniem film „Krzyżacy". Z wieruszowskiego kino wyruszy w powiat pajęczański.

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

KINO-Z-BLISKA

Przed paru tygodniami Kraków pokusił się o zorganizowanie Festiwalu Filmów Krótkometrażowych. Impreza chwyciła, doczekała się licznych omówień w prasie. A na zakończenie zadowolony min. Galiński zapowiedział, że w przyszłości pragnie nadać Festiwalowi charakter międzynarodowy.

Wszystko bardzo pięknie, a jednak nam tu w Łodzi powinno być raczej smutno. Bo jednocześnie z powodzeniem krakowskiego festiwalu straciła Łódź szanse na rozwinięcie własnej, dawniejszej inicjatywy. Myślę tu o Przeglądzie F. Krótkometrażowych, organizowanym corocznie przez „Głos Robotniczy".

Przykro, że Kraków nas ubiegł, że nie umieliśmy sami podnieść znaczenia „głosowego" przeglądu, uczynić zeń imprezy (na razie) ogólnopolskiej. Przykro, że właśnie Łódź — która cierpi na taki brak ważkich wydarzeń kulturalnych, która ma kilka wytwórni filmowych u siebie, a dalsze niemal na przedmieściu (w Warszawie...) — nie potrafiła się zdobyć na odrobinę więcej energii i ze świetnego pomysłu redakcji „Głosu" wykrzesać coś bardziej efektownego.

A przecież rangę krakowskiej imprezie zapewniły w zasadzie tylko trzy elementy:

Po pierwsze — staranniejszy dobór pozycji festiwalowych. Pokazane filmy reprezentowały rzeczywiście najlepsze osiągnięcia wszystkich polskich producentów. Tymczasem w Łodzi przesadnie faworyzowano rodzimą WFO (chyba ok. 75% ostatniego programu), a znakomity dorobek warszawskiego „dokumentu" zbyto zaprezentowaniem zaledwie paru pozycji dobrych i słabych.

Po drugie nagrody. To nic, że krakowskie laury miały wartość zupełnie symboliczną. Ale ważniejsze, że takowe przyznano, że sprawiedliwie rozdzieliło je jury. To się liczy najwięcej, w systemie nagradzania zawarty jest smak szlachetnego współzawodnictwa autorów plus szczypta emocji dla kibiców...

Po trzecie — wydano trochę grosza na delegacje i hotele i zaproszono do Krakowa gości: samych twórców, wybitnych krytyków, działaczy kultury. To rozchód, który z nawiązką oprocentuje w latach przyszłych, kiedy na krakowski festiwal ciż sami goście przyjadą już bez delegacji. Poza tym ich udział nie tylko dodał splendoru imprezie, ale także zapewnił jej niezłą reklamę w prasie krajowej i środowisku twórczym.

W sumie — Kraków spełnił warunki najbardziej tylko oczywiste, już właściwie rytualne — aby należycie oprawić nie nowy w gruncie rzeczy pomysł imprezy. Tych warunków Łódź w swoich przeglądach krótkiego metrażu nie spełniła, nie zdobyła się na oprawę.

Ot, i przykrość. Ot, i zazdrościć Krakowowi.

MARCIN KOSTECKI

Muzeum Ziemi Łowickiej. Tu otwarto wystawę prasy Ziemi Łódzkiej.

JERZY WILMAŃSKI

Fot. W. Machejko

REPORTAŻ Z DNIA ŚWIĄTECZNEGO

Właściwie świętowano w naszym województwie aż osiem dni. Tradycyjne już Dni Łowicza i Ziemi Łowickiej, o których chcemy trochę szerzej wspomnieć były tylko niewielką cząstką gigantycznej imprezy pod nazwą „Dni Ziemi Łódzkiej".

A była to impreza naprawdę nienaciągana i niewymuszona. Ziemia Łódzka to przecież szalenie interesujące regiony: sieradzki, łęczycki, łowicki... Przy okazji pozałatwiano zaległe sprawy. Tak więc wreszcie jedna z łowickich szkół (notabene piękna, nowa szkoła Tysiąclecia) otrzymała imię malarza tych ziem — Józefa Chełmońskiego, a liceum w Poddębicach nazwano im. Marii Konopnickiej, która parę lat życia przemieszkała w pobliskim Bronowie.

Ale wróćmy do Łowicza. Na rogatkach miasta transparenty „serdecznie witające" przybyszów, kolorowe plakaty, słowem święto. Od strony Warszawy na łowicki rynek dostojnie, bez przeszkód, wjeżdżają samochody. Od strony Łodzi milicjant „robi trudności" wycieczkom. No cóż, jest publiczną tajemnicą, że Łowicz ciąży ku Warszawie. Ale co, proszę łowickiej władzy, winne są wycieczki?

Co drugi łowiczanin opowie wam anegdotkę jak to w wieku bodajże XVI-tym rajcowie grodu Łowicza życzyli rajcom warszawskim, aby kiedyś Warszawa dorównała wielkością Łowiczowi. Życzenia się spełniły i to w stopniu o wiele większym, niż sobie poczciwi mieszczanie mogli wyobrazić. Za to dziś Łowicz stanowiący centrum najciekawszego chyba po podhalańskim regionu Polski rozpieszczany jest jak rzadko. Ale to oczywiście nie powód, aby psioczyć na zacny gród nazajutrz po jego święcie.

Tegoroczne Dni Łowicza i Ziemi Łowickiej rozpoczynały, jak się rzekło, obchody o nieco szerszym charakterze. W tym samym czasie kiedy na łowickich Błoniach oklaskiwano nowy program Łowickiego Zespołu Pieśni i Tańca — w Sieradzu odbywał się Zlot Młodzieży Województwa. W tym samym czasie w sali Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Poddębicach trwała sesja naukowa poświęcona twórczości Marii Konopnickiej. I to chyba bardzo dobrze, że pomyślano wreszcie o innych ośrodkach Ziemi Łódzkiej. Mamy przecież wiele interesujących miast w naszym województwie, wielu interesujących twórców ludowych, wiele chlubnych tradycji.

Oczywiście nie każde miasto ma szczęście być wymienianym jeszcze w 1136 roku w papieskiej bulli, ale też sam Łowicz, choćby najbardziej hołubiony, nie załatwi problemu kultury naszego województwa.

Tegoroczne obchody Dni Ziemi Łódzkiej dowiodły, że organizatorzy poszli po jak najsłuszniejszej linii. Sprowadzenie do Łodzi dziesiątków zespołów oraz grup regionalnych i innych (około 60 tys. osób) było przedsięwzięciem dość ryzykownym, niemniej impreza powiodła się całkowicie.

Barwny korowód, który w ubiegłą niedzielę przemaszerował Piotrkowską, oraz występy estradowe zespołów regionalnych spełniały bowiem nie tylko funkcję czysto widowiskową. Był to przegląd dorobku, tradycji i planów niemal wszystkich ciekawszych ośrodków przemysłowych czy kulturalnych województwa. Owa kolorowa parada winna stać się tradycją obchodów Dni Ziemi Łódzkiej. Powtarzanie — jak powiedział kiedyś pewien mądry człowiek — jest matką wiedzy. A wiedza przeciętnego łodzianina o tym, co dzieje się za rogatkami miasta, nie jest z pewnością największa. Należy więc o tym przypominać. Możliwie często.

Można by natomiast dyskutować czy „wepchnięcie" w rozdęty do granic niemożliwości 8-dniowy program obchodów, blisko 80 odczytów o tematyce regionalnej i historycznej nie minęło się przypadkiem z celem. Nie wiem czy koniecznie odczyty o „pasiaku łowickim" czy „historii Sieradza" trzeba organizować akurat w czasie Dni. Czy nie można obdzielić nimi pozostałych 12 miesięcy roku? Sądzę, że w tym drugim wypadku pożytek byłby z pewnością większy.

Jest to zresztą typowa „sprawa do załatwienia", sprawa, która w latach przyszłych zostanie na pewno uregulowana. Tak, jak było zresztą z łowicką żakinadą.

Przed trzema laty przypominała ona dość bezładną maskaradę. W roku bieżącym nabrała charakteru bardziej dojrzałego, nic zresztą nie tracąc z elementów wesołej zabawy. Żakinada w Łowiczu nie jest także, jak sądzą niektórzy, li tylko dziełem przypadku. Otóż w tym mieście młodzież szkolna stanowi jedną trzecią mieszkańców i nic dziwnego, że ojcowie miasta oddali jej w pacht jeden dzień łowickiego święta.

Mówiąc o łowickim pochodzie żaków pamiętać należy, że i tu są istotne nie tylko czysto widowiskowe elementy. Umiejętność wykonania ze smakiem, własnym sumptem ładnego, barwnego kostiumu, często kostiumu historycznego sporządzonego bez najmniejszego błędu z zachowaniem stylu epoki, to sprawa wcale nie taka błaha. To sprawa, mówiąc najogólniej, kultury, o której brak nieraz się młodzież pomawia. Dlatego bardzo sympatyczny jest fakt, że na tegoroczną żakinadzie mniej było ubiorów „ni w pięć ni w dziewięć" a umazany czarną pastą „murzyn" znalazł się tylko jeden. Z tego też względu „murzyn" miał niebywałe powodzenie i był masowo oblegany przez fotoreporterów.

Miły zwyczaj żakinady można by z pewnością rozszerzyć. I to nie tylko na inne, nie mniej „zasobne" w młodzież miasta. Można chyba również oddać młodzieży na ów jeden dzień władzę. Piętnastoletni przewodniczący prezydium czy komendant milicji mogliby spróbować (z dyskretną pomocą dorosłych, rzecz prosta) rozkoszy rządzenia. Nic tak bowiem nie uczy szacunku dla władzy, jak świadomość trudów jej sprawowania.

* * *

Dziś mamy już poza sobą obchody Dni Ziemi Łódzkiej. Dni te, organizowane w ramach obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, były wyśmienitą okazją do pokazania roli i znaczenia Ziemi Łódzkiej w tworzeniu się naszej państwowości. Okazja ta nie została zaprzepaszczona.

Gdyby chcieć wyliczyć wszystkie imprezy, jakie odbyły się lub jeszcze odbywają (wystawy otwarte w czasie Dni są nadal czynne) zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Bezsporne wszak jest jedno — mało chyba było w Łodzi i województwie ludzi, którzy przeżyli obojętnie dni od 10 do 18 czerwca. Na łowickim rynku bite dwa dni liczba parkowanych tam motocykli nie spadała poniżej 150. Do Sieradza przybyła na Zlot wielotysięczna rzesza młodzieży, reprezentująca ponad 40 tys. członków Związku Młodzieży Wiejskiej z Ziemi Łódzkiej. Ubiegłej niedzieli Łódź tętniła gwarem 60 tysięcy przybyłych tu przedstawicieli z 16 powiatów.

Tak więc była to wielka „galówka". Ale galówka na pewno potrzebną.

MĘŻCZYŹNI jak KWIATY?

Dokończenie ze str. 1

na ulicę nawet przy 30 stopniach wyjść należy — jeśli już nie w garniturze kompletnym, to w tradycyjnej koszuli do wewnątrz spodni.

— Najbardziej racjonalny i elegancki ubiór do pracy po siadają tylko lekarze — zauważyła popularna prof. Telakowska z Instytutu Wzornictwa Przemysłowego.

Tak, nad białym fartuchem pod szyję związanym z tyłu na troczki i plączącym się w okolicach stóp nie warto dyskutować. Ten biały całun to niemal jak toga sędziowska. Nienaruszony od lat zębem czasu.

Biuro Wzornictwa wystąpiło niedawno z bardzo interesującą kolekcją wdzianek z dzianiny. Dlaczego z dzianiny? Bo daje ona możliwość zastosowania różnorakich surowców (wełnopodobnych, ścisłych bądź lekkich splotów, elastycznych, gwarantujących wygodę, a zarazem utrzymujących właściwy fason, łatwych do prania).

Do najbardziej umiarkowanych należą wdzianka typu marynarkowego o podobnym jak dotychczasowy ubiór kroju. Uszyte jednak „na miękko", bez podszewki, luźno opadają na ramiona i biodra. Piękne hasło: „Mężczyźni jak kwiaty" realizują wdzianka lamowane skórą (bądź grubą tkaniną). Eleganckie, wdzięczne i nader godne odzienia.

Również wdzianka w postaci kurtek upodobniają mężczyznę do kwiatów. Dzianina połączoną z dewetiną (sztuczny zamsz) daje ładny efekt a zarazem czyni strój praktycznym. Zamszowa, wewnętrzna strona rękawów tudzież zamszowe plecy, (a więc mocne plecy), stanowią dobrą życiową kompozycję.

Świetnie wyglądają wdzianka swetrowe (a nie po prostu swetry). Grube szwy, reglanowo wszyte rękawy, długość do bioder, nadają ubiorowi charakter wierzchni (w odróżnieniu od swetrów cienkich, nieco przykurczonych, sprawiających wrażenie negliżu).

Nie mniej godnie prezentuje się wdzianko — półgolf w kratę z gładkim „śliniaczkiem", bądź swetr z grubej dzianiny przyozdobionej u dołu szerokim kolorowym pasem i podobnym szlakiem przy szpiczastym dekolcie. Osobnym tematem naszej rozprawy są wdzianka wypoczynkowe, bądź jak kto woli, „na relaks". Takie męskie pod domki. Można w nich z powodzeniem wykonywać domowe prace zlecone czy to przy biurku, czy przy kuchni. Na te okoliczności kolory wdzianek mogą być bardzo śmiałe. A więc pulower w barwną kratę. Ładny wzór dzianiny „w okienka" czarno-rdzawe, świetnie zastępuje przeróżne figurki jeleni, i pawi pracowicie wrabianych w ręcznych robótkach szydełkowych.

Ale najdonioślejszy dziś problem to wdzianka letnie. Na ulicy i w pracy wdzianka koszulkowe wyglądają miło, elegancko i... rozsądnie. Oto kilka dobrych wzorów. Koszulka półsportowa z wykładanym kołnierzem i dyskretnym dekoltem, koszulka beżowa z cienkiej dzianiny z ciemniejszymi lamówkami u kołnierza, koszulka rozcięta po bokach u dołu (bardzo twarzowa), wdzianko w poprzeczne drobne pasy, koszulka biała lub kanarkowa bawełniana na upały. Dzianina ta jest łatwa do prania. Nie potrzeba jej prasować. Dyktatorzy męskiej mody radzą unikać koszulek z dzianiny jedwabnej nieestetycznie i nieelegancko opinającej męskie gorsy).

Ale rozprawa, rozprawą, a z kupnem wdzianek wciąż są trudności. Choć koszulki letnie są już na ogół dostępne.

* * *

Z zagorzałym amatorem wdzianka znaleźliśmy się pewnego dnia w Zakładach „Olimpia". Dyrektor Tomaszewski zaproponował nieopatrznie przymierzenie eleganckiej marynarki — wdzianka z dzianiny. Bojownik wdziankowej mody poczuł się w tym stroju doskonale i zapytał:

— Biorę! Ile płacę?

O naiwna nieświadomości!

Nie pojmujesz co to jest akumulacja, komisja cen, zbilansowanie wagi surowca!

Według oceny zakładów, marynarka z 70-procentowej dzianiny powinna kosztować około 450 zł. Komisja cen wyznacza niecałe 200 zł (?) Zakład w ten sposób nie wyjdzie na swoje z akumulacją, nie otrzyma premii, nie wyliczy się z surowca. Katowice zamówiły 10 000 sztuk wdzianek marynarkowych gotowe są zapłacić po 450 zł, Łódź byłaby chyba również gotowa.

Uff! Ciężka jest ta walka o godność wdzianka!

HALINA ŻYŻKA

Fot. Antoni Ulikowski

Pulower z kolorowym brzegiem nawiązuje do tradycyjnego puloweru — również odpowiedni do noszenia w pracowniach bądź pod fartuchem laboratoryjnym.

Fot. Roman Matlak

Wdzianko — marynarkowe zapięte na zamek błyskawiczny z „mięsistej" dość grubej dzianiny w drobną krateczkę. W takim stroju można świetnie poprowadzić konferansjerkę.

O czym każdy „targowicz" wiedzieć powinien

1. *„Wałówki" z domu na Targi brać nie potrzeba. Na terenach wystawowych działa kilkaset ruchomych punktów „odżywczych". Do tego dochodzą restauracje i bary na wolnym powietrzu.*
2. *Bilet wstępu kosztuje 20 złotych.*
3. *Najciekawsze są pawilony ZSRR, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, USA, Włoch, Węgier, Polski i... pozostałych państw! Trzeba zobaczyć wszystkie. Specjalnie — jazdę „wolty żerką" na motocyklach w wykonaniu jeźdźców „Skody".*
4. *Tereny targowe liczą ładnych kilkaset hektarów. Gdy się zmęczycie — nie moczcie nóg w sadzawkach. Nie wypada...*
5. *Przed godziną 13-tą MTP należą wyłącznie do wystawców. Publiczność musi poczekać. Wtedy głos ma Merkury, czyli handel.*
6. *Przed pawilonem „PeKaO" co godzinę odbywa się rewia mody. Wzory — Centralne Laboratorium Przemysłu Odzieżowego i Dom Mody „Moda Polska".*
7. *Nie należy udawać... obcokrajowców. To nie robi już wrażenia na kelnerach poznańskich restauracji.*
8. *W pawilonie CSRS zagrajcie na loterii. Wśród uczestników rozlosowywane są najnowsze „kreacje" obuwniczej mody znad Wełtawy.*
9. *Nie zbierajcie makulatury w postaci różnych toreb z papieru. Natomiast miejcie oczy otwarte na wszelkiego rodzaju nowości. Głównie — z zagranicy.*
10. *Obejrzyjcie Targi!*

Delegacja rządowa PRL bardzo skrupulatnie obejrzała XXX MTP. Władysław Gomułka i Józef Cyrankiewicz interesowali się głównie nowoczesnymi maszynami. A prezes Rady Ministrów — dodatkowo — samochodową „modą".

KŁANIA SIĘ WAM MERKURY

KRZYSZTOF POGORZELEC

Tak, Merkury, mityczny bożek kupców i — niestety — również... złodziei. A fe — powiecie mi — jak można takie rzeczy pisać i to przy okazji jubileuszu...

Międzynarodowe Targi Poznańskie — nasza najpoważniejsza impreza handlowa i jednocześnie okno na świat dla polskich towarów, „wystartowała" dokładnie w roku 1921, ale jako prawie nic nie znacząca regionalna wystawa. Dopiero po latach przekształciła się w słynną „PeWuKę". Przełom nastąpił w roku 1924. Targi Poznańskie ogłoszono za międzynarodowe. Nie były to słowa bez pokrycia: do miasta nad Wartą przyjechali kupcy z Szwajcarii, Szwecji, Niemiec, Rumunii, Jugosławii, Czechosłowacji, Francji i Łotwy. W 15 lat później, w roku 1939, Poznań był najważniejszym centrum handlu zagranicznego w Europie Środkowej i Wschodniej. W XIX MTP — ostatnich przed II wojną światową brało udział 20 państw.

Krótki bilans naszego powojennego dorobku targowego: rok 1946 — pierwsza impreza o charakterze krajowym pod nazwą „Odzież i Dom"; rok 1961 — kolejne XXX MTP i 57 państw wystawiających. 34 kraje urządziły ekspozycje kolektywne, a do tego dochodzi ponad 700 kupców zachodnioeuropejskich, którzy zainstalowali się w indywidualnych stoiskach.

Pytanie, które narzuca się każdemu kto nie zna „kulis" Międzynarodowych Targów Poznańskich: po co to wszystko, czy tylko dla samej... wystawy?

Otóż nie. Targi są kopalnią dewiz w dosłownym tego słowa znaczeniu. Za powierzchnię wystawową zagraniczny kupiec płaci dewizami, to samo w przypadku hotelu, przewozu towarów-eksponatów itp. No, a przede wszystkim liczą się transakcje podpisywane na samych targach. Nie są one bagatelne. W roku 1959 po stronie eksportu odnotowaliśmy kwotę 1.146 milionów dolarów. W rok później — suma ta urosła do 1.325 milionów dolarów. Znaczna jej część to owoc rozmów handlowych przeprowadzonych na Międzynarodowych Targach Poznańskich.

I tutaj ciekawostka: w przeciwieństwie do innych tego typu imprez MTP odnotowują ciągle napływ „nowych twarzy". Tak np. w tym roku po raz pierwszy przyjechały do Poznania: Cejlon, Angola, Irlandia, Surinam, Syjam, Wenezuela, Wybrzeże Kości Słoniowej, Nigeria. To bardzo obiecujące, coraz więcej państw chce z nami handlować, a towary z nalepką „Made in Poland" torują sobie drogę na wszystkie kontynenty.

I drugi pocieszający, wielce pomyślny objaw: w roku 1928 na MTP reklamowano m. in. takie oto „eksponaty" — cytuję za ówczesnym „Światowidem": doskonały płyn do nagniotków „Unicum", rewelacyjny środek odzwyczajający od palenia papierosów „Elrecla", pompy mechaniczne „Vampyr" i — polski wynalazek — gaśnicę pianową „Clou"...

W roku 1961 ich miejsce zajął polski radar, obrabiarki o elektronowym sterowaniu, samochody, urządzenia i sprzęt budowalny. O rozmiarach niektórych eksponatów może świadczyć taki przykład: dźwig wyprodukowany przez Szczecińskie Zakłady liczy sobie 60 metrów wysokości...

Tak teraz handlujemy. I — to bardzo, ale to bardzo dobrze. Co wcale nie znaczy, że Amerykanom zajadającym się polską szynką czy czekoladą mówimy — SMACZNEGO!

Tutaj prowadzą wszystkie drogi... przedstawicielek pięknej części ludzkiego rodu — słowem kobiet. Pawilon łódzki: piękne wełny, nowoczesna odzież, pastelowe barwy tkanin z lnu. 90 procent eksponatów — to nowości. Są już pierwsi kupcy: Anglicy, Kanadyjczycy i ze Środkowego Wschodu.

A JA ZAWSZE O ŁODZI

Nawet w Poznaniu. Tym razem o „łódzkim" pawilonie, w którym mieszczą się stoiska z wyrobami przemysłu włókienniczego.

To jest prawdziwa „Mekka" dla wszystkich osobników rodzaju ludzkiego, którzy chodzą na szpilkach! Pierwsze „ochy" i „achy" zaczynają się już przy dziewiarstwie. Sweterki i wdzianka „Olimpii" oraz zakładów im. Konopnickiej robią międzynarodową furorę. A potem zaraz należy się „ustosunkować" do odzieży. Tu muszę zapytać: panie ministrze Przemysłu Lekkiego, kiedy będę mógł kupić te piękne garniturki i marynarki ze zgrzebnej wełenki w sklepie?

I tak można by w nieskończoność: O szalach typu mohair z ZPW im. Więckowskiego, pięknych krawatach, misiach z włókien akrylonowych, Inie, który ukradł barwy tęczy.

Stwierdzam więc: jestem w Poznaniu, na Targach, a wydaje mi się, że nie ruszyłem noga z Piotrkowskiej. Ciągle słychać: leć zobacz, ale robimy śliczności! Tak, w Łodzi robimy! Ciuchy wysiadają! A dobrze im tak!

Zdjęcia:
H. Ignor

CZY WIECIE ŻE...

❖ **Eksponaty wystawowe przewieziono 1200 wagonami. Ale to nie wystarczyło, dlatego trzeba było zaangażować około 500 samochodów ciężarowych dodatkowo.**

❖ **W tegorocznych — XXX MTP tak zwane ekspozycje kolektywne urządziły 34 państwa: Austria, Belgia, Brazylia, Bułgaria, Cejlon, Chiny, Czechosłowacja, Dania, Finlandia, Francja, Ghana, Grecja, Holandia, India, Italia, Izrael, Japonia, Jugosławia, Kanada, Kuba, Maroko, Niemiecka Republika Demokratyczna, Niemiecka Republika Federalna, Pakistan, Polska, Rumunia, Szwajcaria, Szwecja, USA, Węgry, Wielka Brytania, Wybrzeże Kości Słoniowej, Zjednoczona Republika Arabska, ZSRR.**

Po raz pierwszy kolektywne stoiska organizują: Cejlon, Dania, Japonia, Kuba, Pakistan, Wybrzeże Kości Słoniowej, Zjednoczona Republika Arabska.

❖ **Dla gości zagranicznych zarezerwowano wszystkie poznańskie hotele. „Krajowcy" i... nie tylko, mieszkają w prywatnych kwaterach. Kosztują one 40 złotych za dobę. Również dla przyjezdnych z zagranicy „Orbis" urządził wypożyczalnię samochodów. Opłata za luksusową „Wołgę" wynosi 6 dolarów za 1 dzień plus 6 centów za każdy kilometr jazdy.**

❖ **Już w pierwszym dniu trwania XXX MTP do Poznania przybyło około 2 tys. zagranicznych turystów. Ponad 30 dziennikarzy z USA, Niemiec, Anglii, Francji, krajów socjalistycznych informuje swoich Czytelników o poznańskiej imprezie.**

❖ **Niemniejszy napływ turystów do Poznania zapowiadany jest z kraju: wiadomo już o grupie 15 tysięcy specjalistów, którzy chcą się zapoznać z poznańskim salonem nowości technicznych, ale doliczyć trzeba jeszcze 15 specjalnych pociągów z „targowiczami". W ubiegłym roku MTP zwiedziło około 450 tys. osób.**

Właściwie to podpis powinien brzmieć: „Bez podpisu". Nie mogę się jednak oprzeć — więc! „Zaporożec", małolitrażowy samochód osobowy, producent — ZSRR. Cena? Około 1.800 nowych rubli.

Jednym z eksponatów USA. jest piękny samolocik osobowy. Kosztuje? Drobiazg: kilkadziesiąt tysięcy dolarów

ARYSTARCH

MAŁŻONEK GWIAZDY

Ex-małżonek, naturalnie, gdyż, jak wszystkim wiadomo, Arthur Miller rozszedł się z Marylin Monroe. Nie mniej, optymizm i dobre samopoczucie nie opuszczają słynnego dramaturga, którego dwie sztuki były wystawiane na scenach łódzkich: „Widok z mostu" w teatrze Jaracza i „Śmierć komiwojażera" w teatrze Dejmka. Powiedział on (Miller): „Gdyby to ode mnie zależało nie wybrałbym sobie innej epoki niż nasza. Nasze stulecie jest pasjonujące, ponieważ po raz pierwszy w historii ludzkości zbliżamy się do rozwiązania problemu zabezpieczenia i zaspokojenia elementarnych potrzeb człowieka: dachu nad głową, wyżywienia i pracy dla wszystkich".

Przebywając w Paryżu z okazji „kręcenia" wersji filmowej „Widoku z mostu" Miller udzielił wywiadu współpracowniczce tygodnika „Les lettres francaises", w czasie którego wypowiedział pogląd, że sztuki teatralne nie nadają się do przeróbek filmowych i potwierdził, że napisał powieść -scenariusz pt. „Misfits". Miller czuje się lepiej na gruncie sztuki teatralnej i filmowej niż na terenie powieści, która wymaga od pisarza wytrwałości i cierpliwości. Ciekawym zamierzeniem pisarza jest stwierdzenie, że nie może on pracować poza Stanami Zjednoczonymi, gdyż brak mu wtedy kontaktu z rzeczywistością, z tym, co go otacza i „co się czuje w powietrzu". Ze wszystkich znanych pisarzowi krajów najtrudniejszą do zrozumienia wydaje mu się Francja, a to z powodu jej powiązań łacińskich. Francuzi uważają Amerykę za kraj opanowany przez „brudny" materializm, podczas gdy właśnie w Ameryce ludzie przestali się już interesować lodówkami i mechanizacją, która stała się do tego stopnia częścią życia codziennego, że nie zauważa się jej i nie zwraca się już na nią uwagi.

Jedną z niewiadomych naszego stulecia jest postawa ludzi wobec techniki. Sprawa, zdaniem pisarza, przedstawia się w ten sposób, że trzeba odpowiedzieć na pytanie, czy człowiek opanuje technikę, czy zostanie przez nią pochłonięty? Miller wyraża wątpliwość czy ludzie zdają sobie sprawę z powagi tego problemu i tego zadania, rozwój techniki może być równie dobrze ocaleniem ludzkości, jak i jej zgubą.

W sprawie swej dramaturgii pisarz oświadczył że największy wpływ wywarł nań Ibsen, i to nie tylko przez swe utwory, lecz również przez swą osobowość. I jakkolwiek docenia znaczenie i wpływ twórczości Tołstoja, Dostojewskiego, Hemingwaya i Steinbecka („Grono gniewu") na swą twórczość to jednak uważa dramat za najbardziej dla niego odpowiednią formę wypowiedzi artystycznej, ponieważ powieść jest głównie narzędziem analitycznym, podczas gdy sztuka dramatuczna — syntetycznym i eliminującym wszystko to, co nie jest w wypowiedzi artystycznej istotne i konieczne.

Na zakończenie Miller powiedział: Ważna rzecza jest przedstawić rzeczywistość w sposób dostępny. Więcej warte jest zbliżenie konkretne niźli muśl zbyt oddalona od życia. Bardzo możliwe, że zawsze posiada ten rodzaj wielkości, który jest zachwalanu powszechnie. Posiada ona za to zaletę frontalnego atakowania rzeczywistości. Z dwóch postaw, posuniętych do ostateczności, wybór nie przedstawia dla mnie żadnego trudu: kontakt z rzeczywistością jest absolutnie konieczny.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

„ONDYNA"

Trudno powiedzieć, żebyśmy byli przekarmiani przez Teatr im. Jaracza, po „Żywym trupie" (bo rocznica tołstojowska, tak?) i „Krakowiakach i góralach" (któryż to już raz?) zaproszono nas na „Ondynę" Giraudoux, rzecz, powiedzmy od razu, cokolwiek zmurszałą.

Teatry tego miasta nie gustują, jak słyszę, w dziełach autorów awangardowych, Becketta czy Ionesco, czy Shechadé można oglądać na scenach Warszawy, Krakowa lub Gdańska, ale nie w Łodzi. Nie w Łodzi, byle nie w Łodzi, tu Beckett zrobiłby klapę, na sztukach Ionesco sala świeciłaby pustkami, czyż nie tak? Stary, dobry argument, robotnikom łódzkich fabryk to się nie spodoba, to nie jest teatr dla mas, ta „Końcówka" jest tak pesymistyczna, ten „Nosorożec" cokolwiek dwuznaczny, te „Krzesła" po prostu niezrozumiałe. Stary, smutny argument, rzadko wypowiadany, choć często słyszalny w podtekstach. Nie warto i nie trzeba go przecież nadużywać, tu i tak mało kogo obchodzi to, co się pisze i gra w Paryżu, o Witkacego upominają się tylko studenci (bo go grają), a Paryżem to my sami sobie jesteśmy.

Ten Giraudoux, którego możemy oglądać na scenie Teatru im. Jaracza, spodoba się oczywiście robotnikom,

niegdyś był to co prawda autor, powiedzmy, awangardowy, ale minęło 20 lat, zaledwie 20 lat, i poniektóre teksty zjełczały cokolwiek, i teraz można je już proponować do strawienia widzowi masowemu. Ba, żeby te teksty choć zjełczały, żeby ów zapaszek, unoszący się, powiedzmy, wokół „Ondyny", był zdecydowany, nawet jeśliby miał być zdecydowanie odrażający. Znamy autorów, których teksty pachną zdecydowanie odrażająco, a przecież można ich grać. Byli to bowiem autorzy zdecydowani na wszystko. Giraudoux nie był zdecydowany, kusiła go awangarda (to, co wtedy nazywano awangardą), ale lubił także tanie aforyzmy, **dusza świata oddycha nozdrzami i skrzelami, ale człowiekowi zachciało się mieć swoją własną i rozdrobnił w najgłupszy sposób duszę powszechną**, powiada się w „Ondynie", ten tekst pachnie tak samo jak pachniał przed 20 laty. Znamy ten zapach, to Chanel nr 5. Nie, to nie Chanel, to naftalina. Tak czy inaczej, zapaszek uroczy, coś dla masowego widza, tego, który nie strawiłby dziś — zdaniem niektórych ni Witkacego, ni Becketta.

Naprawdę, nie wiem, po co wystawiono „Ondynę". Lato, do Bożego Narodzenia jeszcze daleko, Giraudoux zejdzie z afisza, i coś z Andersena i tak trzeba będzie zagrać. Nie doradzałbym zresztą pokazywania „Ondyny" dzieciom, ta bajka obliczona jest, mimo wszystko, na wytrzymałość dorosłych, dzieci wolałyby na pewno zobaczyć przyzwoicie wystawionego „Kopciuszka". Ja także, w „Kopciuszku" wiadomo przynajmniej o co chodzi, dobro triumfuje nad złem, morał jest jasny i przejmujący, a los owej

Alina Kulikówna (Ondyna) i Zbigniew Łobodziński (Hans)
Fot. Franciszek Myszkowski

dziewczynki, która zgubiła pantofelek na balu, może się stać udziałem każdego. Los Ondyny nie wzruszy dziś nikogo, w miastach naszej cywilizacji nie spotyka się już rusałek, a stosunki między człowiekiem a naturą zostały dawno i definitywnie załatwione na niekorzyść tej ostatniej.

Jeśli, mimo wszystko, trzeba już było grać tego właśnie Francuza (ale nie trzeba było, bo między „Żywym trupem" a sztuką Kożusznika wolno grać cokolwiek i byle jak, na przykład Szekspira albo Labiche'a) to można było wystawić, powiedzmy, „Przyczynek do podróży Cooka", to też jest perfuma, ale nieco ostrzejsza. I z nieco lepszymi rolami, bo w „Ondynie" nie ma — wbrew pozorom — nawet ról, są tylko schematy, schemat rycerza, i złej Berty, i dobrej królowej. Przekonała się o tym także i Alina Kulikówna (Ondyna). Chwilami naprawdę wzruszająca, brnęła z trudem przez puste partie tekstu. Tę wysoce utalentowaną aktorkę chciałbym zobaczyć kiedyś w roli współczesnej dziewczyny. Albo w roli Kopciuszka. Bo w Ondynę, proszę mi wierzyć, nie można już tchnąć życia.

Teatr im. S. Jaracza. Jean Giraudoux. „Ondyna". Przekład Henryka Roztworowskiego. Reż. Maryna Broniewska. Dekoracje: Józef Rachwalski. Kostiumy: Ewa Soboltowa. Muzyka: Tomasz Kiesewetter.

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

Czy artysta to tylko talent?

Nie tylko. Bo cóż to jest talent w popularnym rozumieniu? Przyrodzona sprawność w operowaniu tzw. elementami formalnymi w danej dziedzinie sztuki. Słowem — biegłość w rzemiośle. Artifex po łacinie znaczy właśnie: mistrz biegły w rzemiośle czyli artysta. Ale w naszych czasach słowo artysta poszerzyło się nieco w swej treści i pogłębiło. Artysta, to owszem, mistrz biegły w rzemiośle, to jest warunek podstawowy, ale ponadto jeszcze i myśliciel, który wie, czemu to rzemiosło ma służyć, co i jak wyrażać. Mieć talent to jeszcze mało, żeby zostać artystą. Wszak talenty posiadają także sportowcy (kolarze, bokserzy, pingpongiści, łyżwiarze, a nawet wędkarze i filateliści), a przecież nikt nie nazywa ich artystami.

A więc poza talentem trzeba jeszcze mieć w sobie coś, czemu ten talent służy. Treść, myśl, filozofię, ideologię. Stanisław Witkiewicz (ojciec Witkacego) twierdził, że na pojęcie artysty w nowoczesnym znaczeniu składa się: zdolność, myśl i wola. Brak jednego z tych elementów powoduje zanik artysty w najbardziej nawet uzdolnionym człowieku. Czytelnika zaintryguje chyba tutaj najwięcej ta „wola". Ano wola według Witkiewicza potrzebna jest tutaj na to, ażeby skutecznie ingerować w równowagę między myślą a talentem. Bez myśli bowiem talent przeradza się w cyrkowa igraszkę, w sztuczkę dla sztuczki, a nie w sztukę, która wyjaśnia, pomnaża i kształtuje nasze życie.

Z tzw. „talentyzmem" czyli z popisem przyrodzonych zdolności bez związku z myślą i z obowiązkami wynikającymi z tej myśli walczył już w dwudziestoleciu międzywojennym Karol Irzykowski, dostrzegając ten bezmyślny kult „talentyzmu" przede wszystkim u poetów grupy „Skamandra". Ostentacyjna „programofobia", którą im słusznie zarzucał, świadczy o ich

pogardzie dla wszelkiej głębszej myśli, dla jakiejkolwiek postawy filozoficznej, dla ideologii w ogóle. To też następna po nich generacja poetów, grupowanych w „Kwadrydze", wystąpiła pod hasłem „poezji uspołecznionej", skierowanym swym ostrzem przeciwko rekla nowanej bezideowości „skamandrytów".

Kolejne pokolenia czy okresy literackie podobnie jak poszczególni ludzie mają swoje hobby a nawet fobie i bziki, z których czynią sztandarowe hasła nowej rzekomo epoki. Tak:m na przykład bzikiem intelektualnym Młodej Polski był kult artysty, jako najwyższego wcielenia człowieka i kult „nagiej duszy" czyli po prostu zanarchizowanej kompletnie ekstrawagancji płciowej. Atrament, alkohol i sperma, to trzy elementy, z których składał się widomy budulec ówczesnej sztuki. Bekotliwość nieprzytomnego słowolejstwa była najwyżej cenionym wyrazem „nagiej duszy".

Następne po Młodej Polsce pokolenie skamandrytów, futurystów i zwrotnicowców zajęło się walką z tą bekotliwością słowolejstwa w literaturze, w poezji przede wszystkim. I tu znów pojawiły się nowe bziki. Kult słowa pozostał, przejęty od Młodej Polski, ale kult, że tak powiem, zracjonalizowany. Znów władztwo słowem stało się najwyższym wyróżnikiem talentu pisarza, ale słowem, oczyszczonym ze znaczeń irracjonalnych. Zaczęła się walka o słowo zwykłe, słowo codzienne, rozumiane rozmaicie i na sposób ad hoc kleconych teorii poetyckich. Dziś po blisko czterdziestu latach trudno odróżnić, czym się właściwie różnił stosunek do słowa skamandrytów, futurystów i zwrotnicowców. Wszyscy dążyli do układania pięknych zdań, równie różnie, co mętnie rozumianego.

W tym stanie rzeczy wystąpienie nowego pokolenia poetów w okresie „Meteora" i „Kwadrygi" z hasłami „poezji uspołecznionej" było czymś istotnie nowym. Nadawało słowu poetyckiemu nową rangę znaczeniową, czyniło go nosicielem myśli ideowej. Ale pozostał odziedziczony z kolei po skamandrytach i futurystach kult talentu. Ów „talentyzm" znów stał się miarą rzeczy, ale „talentyzm" na usługach „słowa ideowego", którego tematem było „miasto, masa, maszyna".

Dziś stoimy na zakręcie najbardziej niebezpiecznym. Grozi nam powrót do bezideowego bełkotu i niekontrolowanego słowolejstwa młodopolszczyzny. Pod hasłem nowoczesności uprawia się znowu stary kult czystego artyzmu, czystej poetyckości słowa, oczyszczonego z wszelkiego znaczenia społecznego. Z hasła „miasto masa, maszyna" wykreślono „miasto i masa", a zostawiono jedynie „maszynę" i z nią powiązano dalszą ewolucję poezji. Zrodził się nowy bzik: technicystyczne traktowanie kultury i jej najistotniejszego wykładnika — sztuki. Sztuka słowa pojmowana jako jedynie sprawność techniczna, jako jedynie wyraz indywidualnego talentu, jako autonomiczna dziedzina sztuki dla samej sztuki — traci powoli znaczenie społeczne i zmienia się ze sztuki w sztuczkę która coraz mniej ludzi zaczyna obchodzić.

Tak więc, czy artysta to tylko talent? Nie tylko. To także myśl, filozofia, ideologia. Jeśli talent można przyrównać do płomienia, to myśl, filozofię, ideologię do paliwa, które ten płomień podtrzymuje i podsyca. Bo bez paliwa płomień gaśnie. A czyż jest możliwe inne paliwo dla talentu poza treścią, które przynosi życie? Jeżeli się znajdzie ktoś kto powie, że jest — niech wystąpi, ażebym złożył mu należny ukłon i to pióro moje u jego stóp. Jeżeli się nie znajdzie — trzeba nam będzie w następnym „sednie rzeczy" rozpatrzyć niepopularny wielce problem: ideologia w sztuce!

„BEZ DEMONIZMU I SKANDALU"

Dokończenie ze str. 2

jakiejkolwiek „taryfy ulgowej" byłby dla łódzkiego środowiska twórczego poniżający.

Lektura repertuaru teatralnego nie potwierdza tezy innego z dyskutantów, który stawia dyrektorom teatrów łódzkich zarzut nieliczenia się z widownią. Jeżeli mamy dyskutować rzeczowo, a nie bawić się w kuluarowe ploty, to zamiast demonizować sprawę i tworzyć anonimowe portrety dyrektorów (z kluczem dla wtajemniczonych) stawiajmy zarzuty konkretne. W odniesieniu do całego repertuaru, a nie w stosunku do tytułów dowolnie przez siebie wybranych i zestawionych w taki sposób, by skandalizować sytuację.

Wydaje mi się, że — jak pisał S. Kaszyński w poprzednim numerze „Odgłosów" — nie ma sytuacji alarmowej w łódzkich teatrach. Nie ma też powodów, by rozdzierać szaty i straszyć publiczność. Takimi metodami możemy tylko przynieść szkodę łódzkiemu życiu teatralnemu, wypłaszając z naszego miasta co zdolniejszych reżyserów i aktorów. O teatrze można i trzeba dyskutować, ale z troską o jego przyszłość, nie kładąc znaku równości między własnym rozgoryczeniem, a obiektywnie istniejącą sytuacją.

Chciałoby się zakończyć te uwagi akcentem konstruktywnym. Postuluje zwołanie w Łodzi wielkiej narady poświęconej repertuarowi teatrów. Niech w tej naradzie wezmą udział ludzie, którym sprawa życia teatralnego w naszym mieście leży na sercu. Na naradzie takiej można by poruszyć z kierownictwami artystycznymi tea-

trów wszelkie sprawy sporne i wątpliwe. Byle nie w sposób arbitralny i mentorski, byle bez chęci dyktowania i zastraszania, gdyż tymi metodami w sztuce niewiele da się uzyskać.

A opanowanie tym bardziej jest wskazane, że teatrów łódzkich naprawdę nie musimy się wstydzić. Tyle chciałem dorzucić do dyskusji.. Przepraszam.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

STANISŁAW MIODUSZEWSKI

MOHENDŻO DARO MIASTO UMARŁYCH

Figurka z brązu przedstawiającą mieszkańca Mohendżo Daro — ciemnoskórego pra-Drawida.

W roku 1856 dwaj angielscy inżynierowie, bracia John i Wiliam Brunton'owie budowali linię kolejową z Karaczi do Lahaur. Zadziwili oni swych inwestorów tym, że przez dłuższy czas obywali się bez podstawowych materiałów budowlanych. Dopiero później okazało się, iż do budowy wiaduktów, budynków stacyjnych i innych obiektów kolejowych brano cegłę z ruin dwu starożytnych miast napotkanych po drodze.

Sprawą tą zainteresowali się archeolodzy i ustalili, że są to miasta z epoki przedaryjskiej: Mohendżo Daro czyli Miasto Umarłych nad Indusem i Harappa nad rzeką Ravi, które powstały około 3.000 lat p.n.e. Prace wykopaliskowe i badania archeologiczne przeprowadzone w tych dwu skupiskach ruin zupełnie zrewolucjonizowały dotychczasowe wyobrażenie o źródłach kultury staroindyjskiej. Udowodniły, że cała teoria o rzekomej wyższości rasy białych plemion aryjskich nad ciemnoskórymi pra-mieszkańcami tych ziem (na czym m. in. opierały się rasistowskie teorie Hitlera) — wywodzi się z błędnych założeń.

50-WIECZNA STARÓWKA

Znalazłszy się w Karaczi nie pominąłem okazji zwiedzenia Mohendżo Daro i zaznajomienia się z tymi archeologicznymi rewelacjami. Kiedy jednak objąłem wzrokiem leżące przede mną rumowiska, mimo woli nasunęło mi się melancholijne pytanie: czy warto było opłynąć pół kuli ziemskiej, żeby zobaczyć to, co widział każdy mieszkaniec zbombardowanej Warszawy. Spietrzone zwały gruzu, popękane płyty chodników, po których przetoczyła się historia w apokaliptycznych konwulsjach... Tyle tylko, że krój cegły jest tu nieco inny, a sędziwością ta indyjska „Starówka" dorównuje egipskim piramidom, gdyż liczy sobie... 50 wieków. Bagatela!

Mohendżo Daro i Warszawa... Jest coś, co oba te miasta, tak bardzo odległe od siebie w czasie i przestrzeni, spina wspólną tragiczną klamrą. W obu wypadkach motorem ich podboju była ta sama brutalna przemoc, poparta nieuzasadnionym przeświadczeniem agresorów o swej wyższości — mitem rasy panów...

SPACERKIEM PO PREHISTORII

Stoimy na dnie głębokiego parowu 10-metrowej szerokości, w głąb którego zeszliśmy stromymi schodami. Znajdujemy się na poziomie głównej ulicy starożytnego miasta. Nie bez wzruszenia oglądamy ślady kół i racic bawolich, odciśnięte w ziemi kilka tysięcy lat temu. To tutaj w Mohendżo Daro i Harappa prawdopodobnie po raz pierwszy w historii świata zastosowano pojazd kołowy jako środek lokomocji. Po ulicach obu miast krążyły liczne dwukołowe wozy — takie same, jak te, które i obecnie spotykamy na drogach Indii. Ciągnęły je woły i bawoły, do dziś najczęściej tu spotykane zwierzęta pociągowe.

Wzdłuż głównej arterii komunikacyjnej piętrzą się resztki dawnej gęstej zabudowy. Dom przylegał do domu, jak w nowoczesnych miastach. Wszystkie ulice przecinały się pod kątem prostym i biegły dokładnie z północy na południe i ze wschodu na zachód. Trasy N-S i W-Z sprzed paru tysięcy lat...

W domach śródmieścia panował niebywały — jak na owe czasy — komfort: w każdym znajdowała się łazienka z basenem kąpielowym; bieżącą wodę doprowadzano bambusowymi rurami. Okien nie było gdyż wiatr nanosiłby przez nie piasek z pustyni. Zastępowały je otwory wentylacyjne zabezpieczone kratami. Na płaski dach tworzący taras prowadziły strome, murowane schody.

Umeblowanie składało się ze stołów, krzeseł i łóżek; zamiast szaf i komód do przechowywania przedmiotów służyły ogromne dzbany, lub zupełnie nowocześnie pomyślane skrytki w ścianach.

Z naczyń i narzędzi, widziałem łyżki i miski zgrabnie wykonane z muszli, kubki gliniane, noże z brązu. Widziałem lampki oliwne, przenośne piecyki pokojowe opalane węglem drzewnym (noce w północnej Indii bywają często chłodne) oraz... wałki do ciasta, całkiem takie jak dziś. Ciekaw jestem tylko, czy i wtedy były one klasyczną bronią rozsierdzonych małżonek...

A oto „menu" obiadowe stwierdzone na podstawie odpadków w jednym z domów śródmieścia: zupa żółwiowa, pieczeń bawola z kaszą jęczmienną, daktyle, melony. Można by się i dziś zgodzić na taki obiad.

LUCYNKA I PAULINKA SPRZED 5.000 LAT

Jak się ubierano? Kobiety nosiły latem tylko krótkie spódniczki, zimą luźne narzutki na ramionach. Modne były obnażone biusty — zwyczaj ten zachował się w Indii do dziś na głębokiej prowincji.

Modnisie z Mohendżo Daro dbały o cerę nie mniej niż nasze dzisiejsze panie. Używały luster z gładzonego brązu, nacierały skórę oliwą, robiły „makijaż" przy pomocy ołówków do brwi i rzęs oraz cynobru do ust. Twarze bielono kredą lub sokiem pewnej rośliny, doskonałym „płynnym pudrem". Zgrubiałą skórę usuwano specjalną drapaczką. Włosy myto wywarem przyrządzonym z wonnych ziół.

Damy z arystokracji nosiły mnóstwo biżuterii. Jak o tym świadczą ówczesne rzeźby, ich ręce, nogi, uszy i szyje były formalnie pokryte bransoletami, pierścieniami, zausznicami i naszyjnikami. Wyroby złotników z Mohendżo Daro to istne cacka ze srebra, złota, kości słoniowej, pereł i drogich kamieni.

Moda męska była znacznie uproszczona — ograniczała się jedynie do przepaski na biodrach. Wszyscy chodzili boso. Grali w gry zbliżone do warcabów. Pili „boski" napój — somę, przyrządzoną z ziół o odurzających właściwościach. Używali brązowych brzytew — równie tępych jak nasze żyletki. Dlatego modne były brody...

Wysoko stało ówczesne rzemiosło. Szczególnie tkactwo, które wyprzedziło inne gałęzie o wiele wieków. Tkano barwne materiały z bawełny, potem z lnu i jedwabiu. Do dziś India jest ojczyzną najbardziej wyszukanych i drogocennych tkanin.

Przedaryjscy mieszkańcy Mohendżo Daro i Harappy uprawiali ożywiony handel, głównie drogą morską. Handlowali z Persją, Mezopotamią, Anamem (dzisiejszy Turkiestan). Mieli swój pieniądz obiegowy i swój system miar i wag. Odważniki znalezione wśród wykopalisk oparte są na podziale 1 : 16. Ciekawe, że do niedawna jeszcze podział ten obowiązywał w monetach: rupia dzieliła się na 16 annas (dopiero przed paru laty wprowadzono podział dziesiętny: 1 rupia 100 pajs).

JAK POWSTAŁY KASTY?

Mohendżo Daro i Harappę dzieliła odległość ok. 400 km, lecz wspólny język i pismo, wspólny system miar i wag, a nawet standaryzacja materiałów budowlanych (te same wymiary cegieł), dowodzą, iż tereny całego dorzecza Indusu należały do jednego państwa. Społeczność ta powstała pod koniec ery brązowej, w okresie rozpadającej się już wspólnoty pierwotnej i kształtującego się na tym podłożu ustroju wczesno-niewolniczego. Wprawdzie poszczególne rody żyły jeszcze w stosunkach patriarchalnych (lub matriarchalnych) lecz były silnie uzależnione od władców i kapłanów.

Sposób rozplanowania obu miast daje interesujący obraz rozwarstwienia ówczesnego społeczeństwa na cztery zasadnicze klasy: kapłanów, rycerzy, mieszczan i plebsu. Centrum stanowi pałac władcy, otoczony murem o wysokości 7 m, oraz świątynia nie mniej imponujących rozmiarów. W pobliżu mieściły się obszerne magazyny i spichrze, w których przechowywano część plonów i produktów ściąganych jako daniny i podatki. Taki „planowy skup zboża..."

Pałac władcy i świątynię głównego kapłana otaczały domy arystokracji i bogaczy. Wspaniałe śródmieście okalały szerokim pasem dzielnice handlowe i rzemieślnicze. Tu znajdowały się obszerne targowiska ze sklepami i warsztatami bogatszych kupców i rzemieślników.

Dalej ciągnęły się rozległe peryferie zamieszkałe przez biedotę i niewolników. Ale również w pałacach i bogatych domach śródmieścia były izby przeznaczone dla niewolników. Wmurowane w ściany obręcze służyły do przymocowywania na noc łańcuchów. Były też izdebki strażników, którzy strzegli wejścia.

CZARNI DŻENTELMENI I BIALI BARBARZYŃCY

Pierwotni mieszkańcy Mohendżo Daro i Harappy zbliżeni byli rasowo do ciemnoskórych plemion drawidyjskich zamieszkujących dziś południową Indię. To właśnie ci czarni pra-Drawidzi, stworzyli przed blisko pięcioma tysiącami lat niezwykle wysoką kulturę materialną.

Badaczom rzuca się jednak w oczy pewna charakterystyczna cecha tej kultury. Oto wykopaliska pochodzące z różnych warstw geologicznych nie wykazuje zmian rozwojowych na przestrzeni przeszło tysiąca lat... Była to więc kultura zamierająca, która osiągnąwszy swój maksymalny poziom rozwoju, zatrzymała ją w miejscu. Z marazmu wyrwał ją dopiero najazd szczepów aryjskich.

Do czasu gdy szlaki morskie stały się drogami podbojów i osadnictwa kolonialnego, kraj ten był przez wiele wieków odcięty od reszty świata. Jedyną bramę do Indii stanowiła Przełęcz Chajber łącząca dolinę Amu-darii z dorzeczem Indusu. Był to jednak szlak trudny do przebycia i strzeżony przez rozbójnicze plemiona górali afgańskich.

Jeśli nawet jakiejś grupie wędrownych szczepów pasterskich udało się przedostać nad urodzajne brzegi Indusu, szybko asymilowała się w ogromnym i bogatym państwie stojącym na znacznie wyższym szczeblu kultury. Tak kończyły się wszystkie kolejne najazdy Aryjczyków, Persów, Greków, Mongołów, Scytów... India była więc raczej „pułapką", niż „kolebką" narodów — jak przywykliśmy od dawna kraj ten nazywać.

Przybysze którzy z czasem zawładnęli tym krajem byli nomadami — wędrownymi plemionami pasterskimi — i żyli w prymitywnych szałasach lub ziemiankach. Mieli natomiast lepsze uzbrojenie i jeździli na szybkich, zręcznych konikach *). Znali również sztukę wytapiania żelaza. Strzały ich długich łuków miały żelazne groty, na głowach nosili metalowe kołpaki, a stalowe ostrza wojennych toporów nie szczerbiły się w zetknięciu z brązowymi toporami Drawidów. Poza tym mieli jasną barwę skóry i niezachwianą wiarę w wyższość swojej rasy: zwali się „arias" czyli: szlachetnie urodzeni...

START HISTORII I KULTURY INDYJSKIEJ

W górnych pokładach Mohendżo Daro i Harappy mniej więcej w 1.000 lat po powstaniu obu stolic — pojawiają się nagle ślady prymitywnych jurt lub jam wygrzebanych w ziemi, w których mieszkali aryjscy koczownicy. Jednak nie długo widać trwał ten okres równoległego bytowania. W zetknięciu dzikiego lecz wojowniczego i chłonnego szczepu aryjskiego ze schyłkową kulturą pra-drawidyjską, ta ostatnia musiała ulec. Najeźdźcy aryjscy przejęli władzę, a także wszystkie zdobycze kultury pra-Drawidów i przenioślszy się do ich pałaców i świątyń, poczęli sprawować rządy.

Kluczem nowego podziału społecznego stała się wtedy barwa skóry. Słowo „kasta" pojawiło się znacznie później. Jego odpowiednikiem w sanskrycie jest słowo „warna", co w pierwotnym brzmieniu oznacza barwę. Tak więc ustrój kastowy w Indii powstał na podłożu rasowym — hegemonii białej rasy aryjskiej nad czarną rasą drawidyjską. Dopiero w późniejszym okresie przybrał charakter klasowy, zgodnie z podziałem zaznaczonym już w urbanistycznym układzie obu stolic na cztery zasadnicze „warny": braminów (kapłanów), kszatriów (władców i wojowników), wajsiów — (kupców i rzemieślników) i siudrów (robotników-niewolników). Bramini i kszatriasi to „dwidżataja arias" czyli „podwójnie urodzeni" arystokraci. Byli to wyłącznie Ariowie, a prawa kastowe ustanowiły mur nie do przebycia pomiędzy nimi, a czarnymi niewolnikami — siudrami.

W ogólnym rozrachunku najazd Ariów wyszedł Indii na korzyść. Zetknięcia dwu różnych ras i kultur spowodowało bujny rozkwit religii, sztuki i rzemiosła — pobudziło zamierającą kulturę pra-drawidyjską i dało jej nowe siły witalne. Stało się jednak inaczej niż głosili teoretycy rasizmu: był to proces podboju wysokiej kultury czarnych narodów Mohendżo Daro i Harappy przez białych barbarzyńców przybyłych z bezkresnych stepów Azji.

*) *Wśród plemion drawidyjskich koń był stworzeniem poświęconym bogom — do lokomocji używano wyłącznie powolnych bawołów.*

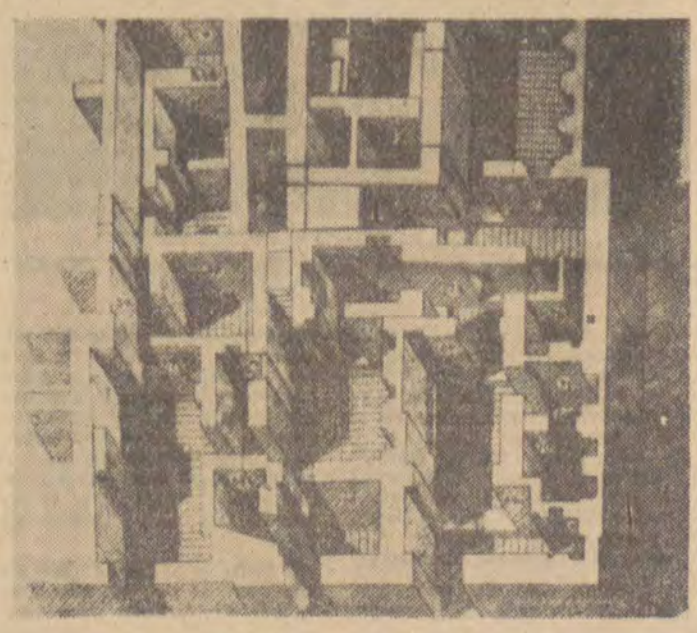

Rekonstrukcja jednego z domów śródmieścia Mohendżo Daro.

JERZY S. FELIKSIAK

OBŁĄKANA

Była smutną rusałką podmiejskich kanałów.
Wciąż siedziała nad wodą łuskami farb lśniącą.
Łuski ją czarowały jak lustra na balu,
A furmani kusili, z butelek bulgocząc.

Widziano ją tulącą kamienie jak dzieci.
Które potem topiła ze śmiechem w kanałach.
Mądrzy ludzie się bali, że pożar im wznieci.
Lecz to ją spalił obłęd — najdzikszy podpalacz.

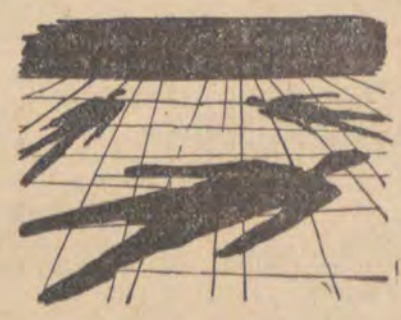

CIENIE

Jak od drzew, gdy podcięte padają na ziemię,
Od ludzi odstępują słońca ziemskie cienie.

I choć słońce łaskawe nawet dla kamieni,
Po odejściu swych cieni ludzie leżą w ziemi.

A cienie się błąkają, o łzy proszą żywych,
Żeby nimi okupić przed słońcem swe winy.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

KTO WINIEN?

Trudno to nazwać pistoletem. A jeszcze trudniej uwierzyć, że z „tego" mógł się zastrzelić człowiek. Prokurator Zieliński wyjmuje z szuflady płaski, stalowy, ręcznie do kształtu pistoletu dopiłowany przedmiot.

Ot, zabawka, wyglądająca o wiele mniej szkodliwie niż znane korkowce, kapiszonowce czy pistolety na wodę. Długość 4,5 cm. Z łatwością może się zmieścić w pudełku od zapałek.

„Pistolet" działał na zasadzie skałkowej broni palnej sprzed lat 400. Do „lufy" sypało się najpierw materiał wybuchowy, uszczelniało watą, a następnie wkładało pocisk — najprawdopodobniej czubek grubego gwoździa. Od góry prowadził do lufy maleńki lejkowaty otworek — umieszczało się tam główkę zapałki i chcąc wystrzelić zapalało się ją. Ogień dostawał się lejkowatym otworem do materiału wybuchowego...

W tym wypadku materiałem wybuchowym był fosfor (popularnie: siarka) zeskrobany z kilku główek od zapałek.

* * *

Kazimierz Motylski (urodzony 17 lipca 1943 r.), przebywał w Zakładzie Poprawczym w Jerzmanicach-Zdroju. Za nienaganne postępowanie Zakład udzielił mu świątecznego urlopu. Urlop miał trwać od 31 marca do 5 kwietnia br. Jednak jeszcze 22 maja Motylski przebywał w Piotrkowie.

Tego właśnie dnia o godz. 13.10, z polecenia sądu zatrzymany został przez milicję, która postanowiła przewieźć go do zakładu poprawczego. Przed osadzeniem w areszcie, gdzie miał czekać aż do chwili przygotowania dla niego transportu, Motylski został poddany dość skrupulatnej rewizji i pozbawiony wszelkich niebezpiecznych przedmiotów, nie pomijając zapałek, sznurowadeł, agrafki.

Ale nie zapominajmy, że „pistolet" miał 4,5 cm długości i około 1 cm grubości. Można go było z łatwością przemycić np. w bucie, w mankietach spodni a nawet pod kołnierzykiem koszuli.

Dokładnie w 10 minut od chwili zamknięcia za Motylskim drzwi aresztu, rozległ się tam bardzo głośny strzał. Zdezorientowani pracownicy Komendy MO w Piotrkowie pobiegli do celi.

Motylski leżał na pryczy z dość dużą raną na skroni i śladami poparzenia. Był jeszcze przytomny, miał regularne tętno, prawdopodobnie rozumiał co do niego mówiono. Wkrótce zabrało go pogotowie.

Prześwietlenie wykazało, że pocisk przebił całą głowę i zatrzymał się — uszkodziwszy ją — na przeciwnej stronie czaszki. Przed podjęciem operacji Motylski zakończył życie.

* * *

Co to był za chłopak? Jakie były przyczyny, które doprowadziły go do tak tragicznego kroku? Przecież samobójstwo w wieku lat osiemnastu, zwłaszcza gdy chodzi o chłopców, jest zjawiskiem dość rzadkim.

Wiadomo na pewno, że wychowywał się w bardzo złych warunkach. Kiedy był jeszcze dzieckiem, ojciec jego opuścił matkę...

Trudno mówić w ogóle o jakimś wychowawczym wpływie rodziny. Matka okazuje się znaną milicji od dawna paserką, wujowie mieli ciągle „coś" w sądzie lub w więzieniu, a jeden z nich został nawet przed kilkoma laty stracony za bandytyzm.

Młody mężczyzna, o wiele młodszy od matki, który zajął w ich domu miejsce męża i ojca — był kilkakrotnie karany za kradzież. On to wciągał w swoje nieczyste interesy chłopca, co sprawiło, że chłopak znalazł się wkrótce w schronisku dla nieletnich w Wieluniu i przebywał tam około 10 miesięcy.

Ubiegłego roku chłopiec stanął ponownie przed sądem, zamieszany w cały splot drobnych kradzieży, między innymi rowerów. Wszyscy oskarżeni, wśród nich jego matka i jej nowy „mąż" — skazani zostali na kary więzienia, a chłopca umieszczono w zakładzie poprawczym w Jerzmanicach-Zdroju.

* * *

Wiadomo na pewno, że przyczyną samobójstwa nie była młodzieńcza miłość. Wiadomo również, że chłopak nie chciał wracać, bardzo nie chciał wracać do zakładu poprawczego w Jerzmanicach. Na kilka tygodni przed śmiercią pisał do sędziego X., że jeśli spróbują wezwać go na Sienkiewicza (Komenda Milicji w Piotrkowie), to najpierw z nią, sędzią, zrobi koniec, a potem z sobą.

To jest jedyny i jednoznaczny ślad myśli Kazimierza Motylskiego o samobójstwie.

Ale czy naprawdę chodziło o samobójstwo?

Sędziowie w sądach dla nieletnich bardzo często otrzymują podobne listy z pogróżkami. Oskarżeni niekiedy już na procesie szantażują sąd groźbą samobójstwa. A jeśli „słowny" szantaż nie pomaga — przechodzą do czynnego. W zakładach karnych dość modny jest zwyczaj połykania ostrych, kuchennych narzędzi, specjalnych kotwiczek, możliwych do usunięcia jedynie drogą skomplikowanej i niebezpiecznej operacji klatki piersiowej. Takie zabiegi, oczywiście, wyroku nie zmienią. Lecz kwalifikują jednak delikwenta na kilkumiesięczny pobyt w szpitalu, urozmaicający a jednocześnie skracający okres odbywania kary.

Być może Kazimierz Motylski nie myślał serio o samobójstwie? Może chodziło mu tylko o szantaż, czy ewentualny pobyt w szpitalu?

Lecz z drugiej strony, czyżby nie znał siły i sprawności swego „pistoletu"? Przecież sam go wykonał w warsztacie mechanicznym jerzmanickiego zakładu. Przecież wielokrotnie z niego strzelał. I do celu, i na wiwat — jak powiadają jego rówieśnicy.

A zresztą — czy tylko po to, aby zadać sobie ranę — decydowałby się na strzał w głowę?

Trzeba więc chyba odrzucić myśl o symulowaniu samobójstwa. A może lęk przed zamknięciem w „poprawczaku" zadecydował o desperackim czynie? Musimy w takim wypadku zapytać o stosunki w zakładzie.

* * *

Jerzmanice-Zdrój. Niezwykle piękna górzysta miejscowość letniskowa nad rzeką Kaczawą, między Jelenią Górą a Legnicą. Tutaj powietrzem się nie oddycha, tutaj powietrze można jeść łyżeczką od herbaty — jak ktoś powiedział.

Zakład poprawczy obejmuje teren, na którym stoi dość luźno kilka budynków, a poza tym jest jeszcze wystarczająco dużo placu na boiska sportowe.

Sport zajmuje w życiu 160 osadzonych tutaj chłopców bardzo istotne miejsce. Wystarczy powiedzieć, że 9 z nich gra w „Górniku" ze Złotoryi (III-ligowa drużyna piłkarska).

Nie. Nie jest to miejsce „tortur". W Jerzmanicach obowiązują zwyczaje i rygory prawie takie jak na koloniach letnich czy w sanatoriach. Chłopcy przebywają w grupach, pod okiem wychowawcy. Część z nich uczy się w szkole podstawowej, inni w szkole zawodowej. Są tutaj duże, dobrze wyposażone warsztaty mechaniczne i stolarskie...

Po skończeniu zajęć w szkole lub też po skończeniu pracy w warsztatach mają do dyspozycji piłki, siatki, boiska do uprawiania lekkoatletyki, czytelnię czasopism bieżących i bibliotekę.

Chłopaki mają tu więcej rozrywek, niż we własnych domach — powiadają ludzie z Jerzmanic. — Niech pan doliczy jeszcze kino, wycieczki, od czasu do czasu przepustki „na miasto". Oczywiście, dla tych którzy wzorowo się zachowują.

Siedzimy w portierni. Jest niedziela. Wychowankowie jeszcze nie wstali, śpią do ósmej.

Interesują mnie kary, jakimi posługuje się dyrekcja w stosunku do najbardziej niezdyscyplinowanych.

Okazuje się, że najgorsza kara — to ostrzyżenie głowy „na zero".

Powoli skierowuję rozmowę na temat Kazimierza Motylskiego. Tak, pamiętają go świetnie. Jasne, że już wiedzą o samobójstwie. Podawała przecież cała prasa..

„Chodził ciągle jakiś taki ponury, od razu było widać, że musi źle skończyć".

Zastanawia mnie jedno: dlaczego Motylski nie próbował nigdy ucieczki, choć tak bardzo nie chciał być w Zakładzie? Parkan jest tu wprawdzie wysoki, ale tylko od frontowej strony. Zresztą, cóż to za przeszkoda, skoro wychowankowie — wedle słów portiera — jak muchy chodzili po murach trzypiętrowego budynku, dopóki nie zdemontowano gzymsów i piorunochronów.

Ucieczki zdarzają się tu bardzo często. Oczywiście, likwidowane są szybko. Milicja chwyta niektórych nawet we Wrocławiu, Katowicach — tłumaczących się, najbezczelniej w świecie, że przyszli wrzucić list do skrzynki.

* * *

Zastępca dyrektora, Wincenty Kuźmicz, zna się na ludziach. Zwłaszcza na ludziach tego pokroju, jakimi są jego wychowankowie.

Znał także dobrze Kazimierza Motylskiego. Jeszcze ze schroniska dla nieletnich w Wieluniu, gdzie był akurat dyrektorem, kiedy przed trzema laty zjawił się tam Motylski.

Opinia Wincentego Kuźmicza rzuca na postać Motylskiego nowe światło. Pozwala twierdzić, że przyczyny samobójstwa były znacznie głębsze i bardziej skomplikowane niż można byłoby w pierwszej chwili przypuszczać.

W miarę inteligentny chłopak, dobrze się uczył, dużo czytał, trzymał się z dala od wszystkich rozrabiackich spółek, nie miał bliskich przyjaciół, był raczej typem samotnika.

Dyrekcja zakładu wystąpiła nawet niedawno z propozycją warunkowego zwolnienia go, jeśli sąd uzna, że sytuacja w domu jest w tej chwili wystarczająco przyzwoita, lub gdyby można go było ulokować gdzie indziej.

Rzucającą się w oczy cechą Kazimierza Motylskiego było jego rzadko spotykane przywiązanie do rodziny i wypływająca stąd — widoczna w listach, które były przecież cenzurowane — wielka tęsknota za domem. Motylski ujawniał ponadto duży szacunek do swego ojca, który go opuścił, kiedy był jeszcze zupełnie małym dzieckiem. Ojciec odwiedzał go teraz od czasu do czasu — jako że mieszka obecnie właśnie w pobliżu Jerzmanic.

Chłopcy znający Motylskiego jeszcze z „cywila" — a wielu przebywa takich w Jerzmanicach — twierdzą, że bardzo cierpiał, ponieważ siedział tutaj za nie swoje grzechy. Podobno wtedy, na rozprawie sądowej wziął na siebie znaczną część winy, by ratować matkę... To w jakiś sposób wyjaśniałoby pytanie dlaczego Motylski ani razu nie próbował ucieczki.

Był bardzo uczulony na krzywdę, jaka mu się działa. Ale przecież — jeśli dać wiarę twierdzeniom jego kolegów — sam się na ten pobyt w Jerzmanicach skazał, przyjmując na siebie część winy matki i być może — nie tylko matki. Zwykła ucieczka przez płot nie stanowiła dla niego rozwiązania. Mogła oznaczać tylko rezygnację.

Czy tego typu konflikty moralne stanowiły rzeczywiście przyczynę samobójstwa Motylskiego? Czy przywiązanie lub miłość do matki groziły mu ciągle odsiadywaniem kary za jej przestępstwa i dlatego nie widział, poza samobójstwem, innego wyjścia?

W każdym bądź razie, zwracam uwagę, że sprawa ta, oprócz swych niewątpliwych aspektów psychologicznych ma jeszcze aspekty społeczne. Bo jednak praprzyczyną samobójstwa Kazimierza Motylskiego musiała być atmosfera rodzinnego domu. Pierwszą rozmową jaką usłyszał to ordynarna kłótnia, a najambitniejsze zajęcie — zręczna kradzież. W takich rodzinach jeszcze dziś śpiewa się pieśni o niezwykłych bandyckich wyczynach Antków, Mańków, i ich „bohaterskim" końcu — strzeleniu sobie w łeb. Odszedł Kazimierz, ale atmosfera pozostała.

DANTE NIE GRYZIE

W Nr 22 „Kulis" z dnia 28. V. 1961 r. ukazał się artykulik pani W. Grocholi pt. „Dante, nastąp się". Trzeba Państwu wiedzieć, że Dante to jeden z koni Łódzkiego Klubu Jeździeckiego opisany właśnie w artykuliku. Kto go przeczytał, a nie zna tych spraw, może mniemać, że Klub ten żywcem został przeniesiony z filmu „Rosemarie wśród milionerów" — do Łodzi. Rasowe konie, własne auta, fajfy, bale itp. Skąd się w Łodzi wziął taki klub?

Istotnie w „Kulisach" wygląda to filmowo i niemal baśniowo, a jak wygląda sprawa Klubu nie od strony „Kulis"?

Myśl zorganizowania Klubu w Łodzi zrodziła się w związku z rozwojem sportu jeździeckiego w kraju, opartego na innych zasadach i innej bazie, niż było to w okresie międzywojennym i powstawaniem klubów miejskich w Warszawie, Krakowie, Sopocie, Katowicach. Klub miał mieć dotacje państwowe i zapewnione dzięki temu warunki rozwoju. Raźno zabrano się do pracy organizacyjnej. Na skutek ogłoszeń w gazetach zgłosiło się ponad 160 kandydatów, znaleziono stajnie, siadniny zapewniły wstawienie koni; jednym słowem wszystko było na najlepszej drodze, gdy okazało się nagle, że na pomoc finansową z góry nie można liczyć wskutek szczupłości kredytów, przeznaczonych na tę dyscyplinę sportu. I wówczas miejscowi działacze postanowili mimo wszystko nie odstępować od zamiaru zorganizowania klubu opierając budżet na składkach członków. — Nie wytrzymało to jednak próby życia, a raczej próby kieszeni „milionerów" łódzkich, składających się z rzeszy urzędników, inżynierów, lekarzy, kilku aktorów i adwokatów, dwóch robotników i jednego szofera, oraz kilku osób z inicjatywy prywatnej. W tej grupie znalazł się opisywany w „Kulisach" pan „Z", z własnym autem i rzekomo koneksjami w światku filmowym. (Dlaczego właśnie „Z" a nie „X"; prawdziwy pan Z. jest niepocieszony, gdyż niewtajemniczeni sądzą, że to o niego właśnie chodzi.)

Grabowski, junior łódzkiego Klubu Jeździeckiego na „Mirażu"

Tak więc trzeba szukać własnych źródeł utrzymania i stąd powstała działalność towarzyska Klubu, która „wstrząsnęła" elegancką Łodzią, jak donoszą „Kulisy".

Sprawa ma się odwrotnie niż przedstawia ją autorka reportażu: nie dlatego Klub nie ma dotacji, że jest „ekskluzywny i nie rokuje dobrych wyników sportowych", lecz przeciwnie, dlatego jest „ekskluzywny" ponieważ nie dostał dotacji. Co do ekskluzywności, też można podyskutować, lecz rozumiemy, że reportaż musiał mieć jakąś linię, traktujemy to więc z przymrużeniem oka jako „licentia poetica"

Takich nieścisłości zresztą jest więcej — nie bądźmy jednak drobiazgowi i nie psujmy misternego rusztowania, na którym zbudowano, wcale nie najgorszy pod względem techniki dziennikarskiej, reportaż. Trzeba tylko wziąć w obronę członków honorowych Klubu, którzy przecież bezinteresownie pomagali Klubowi do jego powstania, lub w inny sposób zasłużyli się jeździectwu. Na pewno nie przypuszczali, że zostaną posądzeni o ubieganie się o „splendor to warzyski", czy też o kierowanie się innymi ubocznymi względami. — Bezinteresowne motywy pracy społecznej są często przyjmowane nieufnie, lub traktowane jako pewnego rodzaju maniactwo, jako odchylenie od normy. Nie mogła się tego ustrzec i autorka reportażu; dlatego pewnie dostało się nawet członkom honorowym, najbardziej bezinteresownym spośród wszystkich klubowych maniaków.

Wracając jednak do rzeczy, tj. do dotacji, to trzeba powiedzieć, że bardzo chcielibyśmy przejść na system dotowania — skończyłyby się nasze kłopoty materialne, przestalibyśmy być czymś egzotycznym, przestalibyśmy być tematem dla „Kulis", co niewątpliwie byłoby z pożytkiem dla sportu jeździeckiego.

Reportaż bowiem nie ogranicza się do „kroniki towarzyskiej", lecz ocenia również możliwości sportowe Klubu, przy czym ocenia je bardzo nisko. No cóż — wyczyn nie jest jedynym zadaniem klubu sportowego; z pozostałych zadań — popularyzacji sportu wśród młodzieży i stworzenia warunków rekreacji dla starszych — Klub już się wywiązał, co zostało ocenione dyplomem uznania. Jeżeli zaś chodzi o wyczyn, to sport konny wymaga co najmniej 2-ch lat na przygotowanie konia i jeźdźca do wyczynu. Klub istnieje 3 lata, właśnie w 3-im roku istnienia zaczęły się sukcesy sportowe. I tak ostatnio na zawodach wiosennych w Lućmierzu, w których brało udział 26 koni z terenu Okręgu, klub zajął 2 miejsce w konkursie juniorów pierwszego dnia, w drugim dniu zaś zajął 3 miejsce. W Ogólnopolskich Konkursach Hippicznych w Kwidzyniu w dniach 26, 27 i 28 br., w których startowało 106 koni, w konkursie Nr 4 juniorów zajęliśmy 8 miejsce, w konkursie Nr 5 na 75 koni startujących przypadło nam 12 miejsce. W konkursach tych obaj nasi jeźdźcy ukończyli dość trudny przebieg, którego nie ukończyło wielu renomowanych zawodników.

Horoskopy sportowe postawione Klubowi przez autorkę artykułu nie sprawdzają się, ocena jego działalności bardzo odbiega od oceny prasy łódzkiej.

Prasa ta życzliwie śledzi postępy sportowe swego klubu cieszy się sukcesami, martwi jego kłopotami, a nade wszystko... nie gryzie, jak nie gryzie Dante, który należy do spokojnego klubu, a nie redakcji „Kulis".

WITOLD KACZYŃSKI

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O osiągnięciach w pracy kulturalnej powiedziano nam w:

KŁ ZMS — tow. Zdzisław Szadkowski — kierownik Wydziału Propagandy.

W bardzo obszernym skrócie wyglądałoby to mniej więcej tak. W ostatnich trzech miesiącach podjęliśmy szereg prac o charakterze popularno-naukowym. Bardzo szeroko zakrojoną akcją był nasz udział w obchodach Dni Oświaty, Książki i Prasy. Zorganizowaliśmy około 150 imprez, w których uczestniczyło i które obejrzało około 20 tys. osób. Były to wieczory autorskie, odczyty, wystawy, spotkania. Obok tych imprez o charakterze doraźnym organizujemy też akcje o szerszym zasięgu. Szkolimy obecnie 30-osobową grupę aktywu k.o. z zakładów pracy naszego miasta. Przygotowujemy się obecnie do wielkiego konkursu dla młodzieży „Kultura na co dzień". W tych dniach mamy zamiar zorganizować spotkanie aktywu zespołów teatralnych i rozrywkowych, na którym dyskutować będziemy o osiągnięciach i o planach na najbliższy okres.

W RO ZSP — kol. Janusz Konopiński — wiceprzewodniczący.

Działalność kulturalna ZSP obejmuje zasadniczo cztery działy:

amatorskie zespoły studenckie
kluby
radiowęzły
imprezy typu kulturalnego.

Co do działu pierwszego to mamy 21 zespołów, w tym 5 zespołów teatralnych, zespoły taneczne, estradowe, itp. Sporo z tych zespołów było na niedawnym festiwalu w Gdańsku, większość została nagrodzona i wyróżniona. W tym teatr „Pstrąg", teatr „Cytryna", teatr „PWSSP", balet Politechniki Łódzkiej. Ogółem zespoły nasze obejrzało w tym roku około 250 tys. widzów. Można powiedzieć, że obecnie położyliśmy szczególny nacisk na działalność zespołów studenckich. Jeżeli chodzi o kluby to mamy ich w Łodzi — 6 uczelnianych i jeden środowiskowy. Prowadzą one zarówno działalność rozrywkową jak i kulturalną o charakterze poważnym, jak Wszechnica Muzyczna czy Ośrodek Społeczno-Polityczny.

Radiowęzły prowadzą prace w dwóch dziedzinach. Informacji bieżącej i prób przygotowywania własnych audycji. Opiekę nad nimi sprawuje audycja młodzieżowa Polskiego Radia.

Dział imprez kulturalnych zajmuje się organizowaniem koncertów, festynów oraz wymiany zespołów. Imprezy przygotowujemy przy użyciu własnych zespołów jak również korzystamy z pobytu zespołów z innych miast. Imprezy te mają charakter otwarty. W dziale tym rozwija swą działalność studencka służba. Organizuje ona spotkania i masówki w zakładach pracy, wyjeżdża również w teren.

KW ZMW — z braku konkretnych danych na podorędziu nie udzielono nam wywiadu.

Rozmawiał ŁUW

informacje i zaczepki

● **W 14 i 15 serii prac polonistycznych Krystyna i Stanisław Kaszyńscy opublikowali pełną „Bibliografię Teatru Łódzkiego" za lata 1945—57; rzecz to niezwykle cenna zwłaszcza dla przyszłych historyków teatru.** ● **Esperancki klub „Melpomena" przejawia coraz żywszą działalność — opracowuje audycje radiowe, organizuje wieczory artystyczne, a nawet tłumaczy wiersze łódzkich poetów.** ● **Z okazji Zlotu Młodzieży ZMW Zarząd Wojewódzki tego związku wydał w nakładzie 5 tys. egz. interesującą jednodniówkę obrazującą osiągnięcia młodzieży Ziemi Łódzkiej.** ● **Ciekawy koncert miał niedawno miejsce w naszym mieście — a mianowicie wystąpili na publicznym popisie najmłodsi adepci muzyki — uczniowie Podstawowej Szkoły Muzycznej; rodzice byli zachwyceni.** ● **Ponad 7 tysięcy zł przeznaczył bałucki Zarząd Ligi Kobiet na wyposażenie świetlic blokowych tej dzielnicy.** ● **Jak się dowiadujemy, w Łodzi uruchomiony zostanie gabinet kosmetyczny dla płci brzydkiej — już wyobrażamy sobie te kilometrowe kolejki, zwłaszcza że kosmetyczki zatrudniono nader urodziwe.** ● **Ogromnym powodzeniem cieszył się niedzielny koncert laureatów Ogólnopolskiego Festiwalu Zespołów i Solistów Ludowych, jaki odbył się w łódzkiej hali sportowej.** ● **Warto obejrzeć wystawę sztuki ludowej łódzkiego regionu eksponowaną w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza.** ● **Konkurs dla plastyków - amatorów został zakończony — przyznano wiele nagród i wyróżnień a ciekawsze prace wystawiono w Muzeum Sztuki.** ● **Aż na czterech estradach w różnych punktach miasta występowały w ubiegłą niedzielę zespoły regionalne z naszego województwa.** ● **Miłośników dobrej poezji zachęcamy do przeczytania ciekawego zbioru wierszy Tadeusza Gicgiera pt. „Wyjmij mnie z czasu" wydanego ostatnio przez Wydawnictwo Łódzkie.** ● **100 milionów złotych kosztować będzie nowoczesny zakład przetwórstwa owocowo-warzywniczego budowany obecnie w Łowiczu — może więc niedługo przestanie już nam grozić „klęska urodzaju".**

WIL

PIÓRKIEM PO AKTUALNOŚCIACH

Wiosna skłania gazety do zamieszczania nastrojowych zdjęć. Niedawno w łódzkiej popołudniówce ukazało się zdjęcie mocno podkasanej pani spoczywającej na ramieniu pana. Zdjęcie opatrzono napisem: „Nie trudno się domyśleć, o czym marzy tych dwoje w parku Poniatowskiego..."

Domyśliliśmy się. Bardzo państwa za to niemoralne wyznanie przepraszamy.

* * *

Popularny Tygodnik „Przyjaciółka" zamieszcza równie popularne opowieści filmowe. W zakończeniu jednej z takich opowieści czytamy: „Mąż swojej żony" przynosi dużo dobrego humoru i wesołej zabawy. A więc śmiejmy się wszyscy z tej naprawdę udanej komedii!"

Twórcy filmu po przeczytaniu powyższego zagryźli niechybnie wargi: nie wiadomo tylko — ze śmiechu, ze złości czy... z tej naprawdę udanej recenzji filmowej.

* * *

W zakończeniu felietonu „Prawo do własnej twarzy" („Odgłosy" — kolumna telewizyjna) przeczytałem co następuje:

„A więc — uwaga! Gdy telewizja jest na sali czy na meczu, nie kręć się, nie rozrabiaj, nie wykrzywiaj i tak dalej, chyba... chyba, że marzysz po cichu, aby obejrzała cię i zapamiętała cała Polska".

Nareszcie wiem, jak osiągnąć sławę: od dzisiaj zaczynam się kręcić, wykrzywiać i rozrabiać.

* * *

W Studio Filmów Lalkowych ukończono produkcję filmu pt. „Ała ma kota", którego współscenarzystką i reżyserem jest Alina Kotowska, zdjęcia wykonał Jerzy Kotowski, a oprawę plastyczną — Kasia Kotowska (lat 6). Ze zdumieniem przeczytaliśmy, iż muzykę do tego filmu napisał... Piotr Hertel. Czyżby tak wszechstronnie utalentowana rodzina Kotowskich nie mogła się zdobyć na jeszcze jednego Kotowskiego — kompozytora?

T. G-R.

ZAGADKA TYGODNIA

Dziś zagadka literacka. Nasi Czytelnicy będą musieli podać zawody (rzecz prosta, zawody tak zwane wyuczone) znanych pisarzy. A zatem jaki zawód wyuczony posiadał lub posiada:

1) Taras Szewczenko
   a) historyk
   b) malarz
   c) astronom
2) Tadeusz Boy-Żeleński
   a) historyk
   b) lekarz
   c) nauczyciel
3) Leon Kruczkowski
   a) ekonomista
   b) prawnik
   c) chemik
4) Jan Brzechwa
   a) prawnik
   b) fizyk
   c) nauczyciel

Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać w terminie tygodniowym. Wśród Czytelników którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE Z NR 23

W pierwszym stadzie było 5 owiec, w drugim natomiast 3. Nagrodę otrzymuje p. Barbara Patalong, Łódź, ul. Zacisze 4.

RENÉ CAILLE

NAJOSTRZEJSZE OŁÓWKI ŚWIATA

Najsławniejszy na świecie — obok „Puncha" — miesięcznik humorystyczny „Le Rire", dawno już odszedł od bezkompromisowej satyry politycznej, która wyznaczała oblicze tego pisma przed pół wiekiem. Dziś w tym magazynie chodzi tylko o rozrywkę, nikogo i niczego się nie zwalcza.

Trzeba jednak przyznać, że przy całej skłonności do pikanterii — „le Rire" rzadko przekracza granice dobrego smaku. Dowodem — najbardziej chyba typowe dla charakteru pisma żarty rysunkowe Rene Caille.

Caille ogrywa we wszystkich swoich rysunkach stale ten sam motyw, krótko określić go można — „On i ona". Dwuznaczne sytuacje ukazuje Caille nad podziw delikatnie i nawet z pewnym wdziękiem: są one często tylko pretekstem, by przedstawić ciekawy portrecik psychologiczny, wnikliwie zarysowany charakterek.

Stałą bohaterką dowcipów Caille jest młoda kobietka o ptasim móżdżku, przerażliwie pusta i — mimo pozorów sprytu — niesłychanie naiwna. Taki współczesny kociak, cały swój program życiowy streszcza w marzeniach o dostatku, kolekcji fatałaszków, o mężczyźnie, z którym warto się pokazać... Słowem — program życia wygodnego, ułatwionego — za każdą cenę...

Zbyt mało tu jeszcze drwiny, by te żarty mogły odegrać większą rolę wychowawczą — tym niemniej subtelna lecz wyraźna ironia stanowi cenne uzupełnienie tych dowcipów.

(jert)

— Czy nastąpiła separacja od łoża?
— Oczywiście. Przynajmniej w ciągu dnia...

— Może najpierw pozmywasz naczynia?

— Nie namawiaj! Przyrzekłam mamie, że nie będę palić papierosów!

HORACY SAFRIN

WYWIAD

Redaktor Ireneusz Kret ubierał się w gorączkowym pośpiechu. Biły nań siódme poty. Dwie minuty temu wezwał go do gabinetu sam „naczelny". Spojrzał spode łba na taśmę dalekopisu, a pogrzebawszy kciukiem w obydwu dziurkach mięsistego nosa wycedził znacząco:

— Mam dla pana... tego... bojowe zadanie. Dziś wczesnym rankiem zatrzymali się w naszym mieście... tego... dwaj wybitni pisarze. Znany poeta liryczny, no i... tego... krytyk literatury. Mieszkają w hotelu „Esplanade". Trzeba ich... tego... odszukać i odbyć wywiad. Czekam na materiał do godziny dwunastej zero zero. Musi wejść do jutrzejszego numeru. Kropka.

I dodał na koniec pojednawczo:

— Od czasu do czasu trzeba coś zrobić dla tej — jak tam tego? — kultury...

Portier hotelu „Esplanade" spojrzał przymilnie na młodego dziennikarza.

— Panowie, niestety, przed mała chwilka zeszli na śniadanie. Ot, siedzą tam, na prawo od bufetu, Czy mam ich poprosić?

I wskazał na dwóch żywo gestykulujących mężczyzn, których palce igrały z nie dopitymi filiżankami kawy.

— Nie, nie, dziękuję! — zawołał redaktor. W jego rozpalonej do czerwoności głowie zrodziła się genialna myśl.

— Należy chwytać życie na gorąco! Siądę przy sąsiednim stoliku i posłucham, o czym to rozprawiają tak namiętnie te dwie chodzące sławy...

Zająwszy miejsce na kanapce, otworzył notes i wytężył słuch. Do jego prawej małżowiny usznej docierały strzępy zdań:

— Medycyna czyni ostatnio ogromne postępy...

— ...pozostaje wyraźnie w tyle...

— ... sacharyna...

— ... szczypta pieprzu...

— ... zastrzyki...

— To powikłana, niełatwa rzecz!

— ... bezboleśnie...

— ... lekkostrawne...

— ... stanowisko profesora jest inne...

Nazajutrz w poczytnej miejscowej gazecie ukazał się artykuł pióra Ireneusza Kreta — następującej treści:

„W dniu wczorajszym bawili w naszym mieście dwaj sławni pisarze — poeta liryczny Apoloniusz Okaryna i krytyk Jan Kanty Głędziarz. Naszemu redaktorowi udało się dotrzeć do nich i usłyszeć z ich ust rewelacyjne poglądy na temat współczesnej literatury. A oto one.

Nauka, na przykład medycyna, czyni ostatnio ogromne postępy, a literatura pozostaje wyraźnie w tyle. Jest ona bądź powikłana, bądź też mdła i słodkawa jak sacharyna. Brak jej szczypty pieprzu, zastrzyków humoru ludowego i lekkostrawności. Rzecz jasna, że niełatwa to sprawa. Zmiany w formie i treści należy przeprowadzić z umiarem, bezboleśnie...

Pod koniec pozwalamy sobie zdradzić pewną niedyskrecję: Jan Kanty Głędziarz, krytyk o europejskim, rozgłosie, obejmuje wkrótce stanowisko profesora. Czeka nań katedra na jednej z najstarszych wszechnic naszego kraju..."

Tak brzmiał sensacyjny artykuł, spłodzony przez Ireneusza Kreta.

A dwaj sławni pisarze toczyli przy stoliku kawiarnianym ożywioną rozmowę na temat swoich dolegliwości żołądkowych.

TADEUSZ GICGIER

NIEJEDEN

Niejeden (tak już bywa)
zebrał smutne żniwo:
nawarzył sobie piwa,
choć pił tylko piwo.

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 249-79 ◇ Warunki prenumer.: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz RUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Zwirki 17 ◇ Zam. 1756 VI. L-4

RZECZ o TEATRZE

Spektakle teatru telewizji cieszą się zasłużoną, dobrą sławą. Jeszcze jeden listek do laurowego wieńca przyniosła poniedziałkowa premiera „Rzeczy o teatrze". J. W. Goethego w reżyserii Stanisława Wohla. Recenzent telewizyjny „Dziennika Łódzkiego", zastanawiał się nawet przez chwilę, czy warto było angażować siły w realizację tego utworu, doszedł jednak, na swoje szczęście do wniosku, że należało tak uczynić, ponieważ żaden teatr nie wziąłby się za tę sztukę: „bo

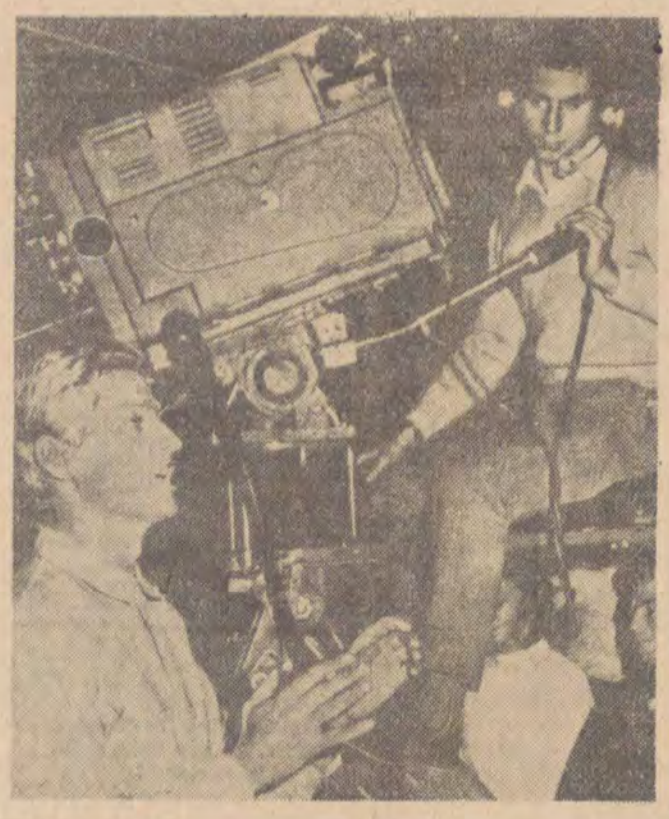

i z konstrukcją dramatyczną w niej nie najlepiej i zbyt kameralna, i w zasadzie zbudowana na materiale wtórnym, bo na wątkach szekspirowskiego Hamleta" — pisał. Prawdę mówiąc to i cały spektakl jest wtórny, bo zbudowany z fragmentów powieści Goethego.

Przeróbka była dokonana specjalnie dla telewizji, nie zaś dla teatru, więc nie ma potrzeby snuć takich porównań ani przypuszczeń. Przeróbka Wilczka miała na celu nie tworzenie pełnospektaklowej sztuki, a pokazanie w ramach prowadzonego w IV cyklu upowszechniania arcydzieł literatury — świetnej rzeczy o teatrze. I nie jest tu najistotniejsze, że rozważania o teatrze, jego ludziach, kulisach, blaskach i nędzy, o sztuce wielkiej i małej — o linoskoczkach i Hamlecie to-

czą się w oparciu o fragmenty dramatu o królewiczu duńskim, ważne jest to co się mówi o tej sztuce, co się mówi na marginesach o teatrze.

A trzeba przyznać, że prawdy wygłaszane przez Goethego są dziś piekielnie aktualne. Dziś chyba nikt nie zdobyłby się na powiedzenie czegoś takiego o teatrze, o zawiśliciach aktorskich, o kulisach moralnych i materialnych teatralnej profesji, bo tę ewentualną odwagę przypłaciłby procesami o zniesławienie lub słuchaniem wrzas-

ków o obrazie trudnego zawodu. A przecież wszyscy i aktorzy i dyrektorzy teatrów, którzy kiedyś tak jak dziś, raczej dziś tak jakie kiedyś, zastanawia się czy nie można ze sztuki skreślić postaci Rosenkrantza, czy Ducha ojca... i reżyserzy, którzy mają zmienną słabość do pewnych aktorek i ci nieliczni widzowie którzy czytają recenzje teatralne, i recenzenci, którzy co innego mówią a co innego piszą — wszyscy oglądali audycję z ogromnym zainteresowaniem. To nie jest na pewno arcydzieło sztuki dramatycznej, ale na pewno arcydzieło dowcipu, spostrzegawczości, odwagi. Należy zapytać, czy powiedzmy milion widzów teatru telewizji sięgnąłby tego samego dnia do dzieł Goethego by przyczytać to co usłyszał i zobaczył w telewizji? Chyba nie. A więc za popularyzację rzeczy znakomitej, za świetną kreację Hołoubka, Mikołajskiej, Kossobudzkiej, Wołłejki i innych — serdeczne dzięki.

P.S. Warto pomyśleć o powtórzeniu audycji. (x).

POWRÓT REPORTAŻU

Reportaż telewizyjny wraca na piedestał. Piszemy „wraca", ponieważ kiedyś, ambicją telewizji było wychodzenie w teren, nic zaś wygodna forma pogaduszek w studio, reporterka telewizyjna stała na niezłym poziomie. Jeśli tam nawet coś nie grało, to przecież sam koloryt otoczenia — przypomnijmy tu np. reportaż z hut szklanych Piotrkowa — wiele nadrabia, wiele uzupełnia. A więc po miesiącach zapomnienia reportaż powraca na antenę. Powinno tak być również ze względu na specyfikę letniego programu, który wymaga więcej przestrzeni, pleneru, powietrza. Przypominamy tu reportaż z budowy wielkiego ośrodka wodno - energetycznego, przy przeprowadzaniu którego reporter miał nadawczy aparat ultrakrótkofalowy umożliwiający mu swobodne poruszanie się po terenie. Przypominamy, ale to już z innych względów reportaż pod tytułem „Dziesięć praskich „Naj..."

Zaczęło się od tego, że dzień wcześniej speakerka zapowiadała tę pozycję tonem sugerującym, jako żywo, koncert estradowy. Następnego dnia okazało się, że mamy do czynienia z próbą telewizyjnego pokazania Pragi czeskiej. Przy stoliku zasiadło czterech reporterów: czeski, niemiecki, polski i węgierski. I tu pierwszy pomysł: ich zapowiedzi kierowane do słuchaczy swoich krajów były utrzymane w formie rozmowy pomiędzy reporterami. Każdy mówił to samo, uśmiechając się do drugiego, tamten potakiwał, przejmował głos, zwracał się do następnego. I tak to leciało. Nie ma bowiem większej chały jak zapowiedzi wprost w kamerę. Sam reportaż był przygotowany bardzo rzetelnie i z dużą znajomością warsztatu a raczej sprzedawania tematów — od mniej ciekawych do coraz to lepszych. Ostatecznie przełknęliśmy samochody, skutery (dlaczego ich się nie sprowadza obok „Jaw"?), czeskie szkło, piękno Pragi, by poddać się urokowi znakomitego filmu zrealizowanego dla telewizji czeskiej pt. „Tajemnice kulis". Pokazano tu niewielki tylko fragment inscenizacji piosenki „Mecchi Majcher", ale poznaliśmy porywający rytm montażu, świetny nowoczesny balet, grę światła, prostotę scenografii „pogłosowe" nagranie muzyki, to robi wrażenie wstrząsające oczywiście w sensie jak najbardziej dodatnim. Praski magazyn reportażowy wyróżnił się jeszcze jednym, mianowicie luksusem podania tego programowego kąska. Reporterzy raz po raz wypijali z czeskiego szkła śliwowicę a potem otwartymi kabrioletami udali się do nocnego lokalu, gdzie rzecz prosta ukazali się nam nie tylko w czarnych garniturach, ale i z czarnym mikrofonem w ręku. Grała orkiestra. Nie wiemy jak tam było z repertuarem niemieckim i węgierskim, ale piosenka „Jak przygoda, to tylko w Warszawie" uznana przez naszych czeskich przyjaciół za reprezentatywną polską piosenkę, dziś już nią nie jest i słuchaliśmy jej z uśmiechem politowania. Przecież telewizja polska wiedziała o tej transmisji i mogła przesłać do Pragi coś bardziej na czasie.

Niemniej, powiadamy, reportaż w telewizji wraca do łask. I to dobrze. Sęk w tym, by tematy były frapujące.

(m)

TELE-MELE

Jak wiadomo, pisaliśmy o tym szerzej swego czasu, Komitet do Spraw Radiofonii Polskie Radio i Telewizja ogłosił konkurs na sprawozdawców radiowych i telewizyjnych. Do eliminacji, które odbyły się we wszystkich ośrodkach radiowych kraju zgłosiło się około 2 tys. kandydatów. Z tej potężnej gromady, po wielu próbach jury wyłoniło 13 osób, które po odbyciu jeszcze kursu w ośrodku szkolenia radiowego w Soplicowie pod Warszawą otrzymają bądź pracę na etatach, bądź przyjęci będą na współpracowników radia i telewizji. Miło nam donieść, że wśród tej trzynastki znajduje się dwóch łodzian: redaktor Michał Walczak z „Expressu Ilustrowanego" i mgr Jan Jakubiszyn nauczyciel, członek STS „Pstrąg". Obu laureatom życzymy powodzenia w przyszłej pracy.

* * *

Jeden z naszych najlepszych artystów estrady, Wiesław Michnikowski wypełnił w ramach prowadzonego przez telewizję cyklu spotkań z aktorami, całą audycję. Ta forma indywidualnego popisu przyjmuje się u nas coraz bardziej i ze względu na swój kameralny charakter — telewizja też ma w końcu kameralny zasięg oddziaływania — będzie miał chyba coraz więcej zwolenników wśród widzów. Michnikowski wbrew pozorom nie jest aktorem o ukształtowanym już obliczu artystycznym. Pokazane teksty dały tego dowód aż nadto wyraźny. Nie leży mu zupełnie styl Wiecha, o czym przekonaliśmy się słuchając monologu o waśniach w tramwaju, nie leży mu piosenkarstwo serio... Odpowiada mu natomiast gatunek humoru pary autorskiej Przybora — Wasowski: teksty z programów „Kabaretu starszych panów" takie jak „Tkacze" czy „Pomidory", w których Michnikowski jest bardzo biedny, nieszczęśliwy, godny współczucia, sepleni, jąka się, płacze, gnębią go nerwowe tiki i grymasy, jak również otoczenie ludzkie — teksty te stanowią z jednej strony najlepsze pozycje jego repertuaru, z drugiej zaś określają jakoś emplois tego utalentowanego aktora o kapitalnej twarzy.

* * *

Zmartwił nas nieco wynik ankiety „Głosu Robotniczego", która miała odpowiedzieć na pytanie co czytelnicy oglądają w kinach, czytają, co lubią w telewizji, jakich cenią aktorów itd. A więc co do telewizji, czytelnicy wypowiadają się, że najciekawszymi audycjami, są: „Kobra", sprawozdania sportowe, i „Miś z okienka". Ani nie wspominają o „Wszechnicy telewizyjnej" ani o audycjach estradowych, ani o świetnych spektaklach teatru telewizji, ani o „Eurece", ani o „Pegazie". Wszystko to stawia pod wielkim znakiem zapytania całą resztę ocen ankietowych, można się bowiem domyślić kto nadsyłał te odpowiedzi. Aż tutaj wielka niespodzianka. Wśród ulubionych postaci telewizyjnych ankietowicze wymieniają Irenę Dziedzic — bardzo słusznie, Bronisława Pawlika — za tego misia, niech mu będzie, zasłużył się dzieciom i Gustawa Holoubka, który jako żywo nie występuje w sprawozdaniach sportowych, ani w „Kobrze", ani w „Misiu z okienka". Stąd wniosek, że nie jest tak źle z naszą widownią telewizyjną, skoro zna i ceni Holoubka. Dlaczego jednak nie uznaje osiągnięć teatru telewizji, to już jej gorzka tajemnica.

Nowa gwiazda na firmamencie telewizji i filmu europejskiego. Senta Berger łączy w sobie — jak twierdzą krytycy — cechy Marylin Monroe i Brigidte Bardot. Połączenie to odbywa się jak widać z wielką korzyścią dla widzów kina i telewizji.

NOWINKI z telewizji radzieckiej

Korespondenci pism zagranicznych akredytowani w Moskwie raz po raz nie kryją zdumienia obserwując burzliwy rozwój telewizji radzieckiej. Z każdym dniem na dachach domów wyrastają nowe setki tysięcy anten odbiorczych, na terenie ZSRR pracuje już ponad 100 samodzielnych stacji nadawczych wyposażonych w studia i prawie 200 stacji przekaźnikowych. Liczby te rosną dosłownie z godziny na godzinę. Telewizja Moskiewska nadaje dwa programy, biało-czarny i eksperymentalny program kolorowy. Drugi po Moskwie ośrodek telewizyjny w Leningradzie obecnie jest w stadium znacznej rozbudowy. Powstają tu dwa wielkie studia o powierzchni 300 i 450 metrów kwadratowych. Prawdopodobnie do końca tego roku uruchomiony tu będzie drugi program telewizji biało-czarnej. Istotnym problemem technicznym jest w Związku Radzieckim sprawa wymiany programów między ośrodkami telewizyjnymi. Olbrzymie odległości utrudniają znacznie pracę łączy ultrakrótkofalowych, na trasie których trzeba budować bardzo wiele stacji przekaźnikowych. Zagadnienie to technicy radzieccy zamierzają rozwiązać poprzez budowę połączeń kablowych. Obecnie w trakcie budowy znajduje się już pierwsze takie połączenie między Moskwą a Leningradem.

PROGRAM na najbliższe dni

22. VI. — CZWARTEK

17.00 Sprawozdanie z kolarskich torowych (sprint) mistrzostw Polski w Krakowie (Kraków—Katowice), 18.00 PKF (W), 18.10 „Biali bracia" — insc. własna dla dzieci wg opow. Marii Kann (W), 19.30 Dziennik telewizyjny (W), 20.00 „Nie tylko dla pań" — Magazyn (W), 20.30 „Wszystkie dni tygodnia" (L, lok.), 21.00 „Ballada o żołnierzu" Film fabularny prod. radzieckiej dozw. od lat 16 (W), 22.30 Ostatnie wiadomości (W).

23. VI. — PIĄTEK

17.55 Program dnia (L), 18.00 „W Program publicystyczny — „Pełni sezonu" (L, lok.), 18.15 Program rozrywkowy dla młodzieży (W), 18.55 Wszechnica telewizyjna z cyklu „Wszechświat w którym żyjemy" — program pt. „Maszyny do myślenia" (W), 19.30 Dziennik telewizyjny (W), 20.00 Program publicystyczny w opracowaniu Karola Lubelczyka (W) 20.35 Teatr telewizji z Łodzi „Przechadzka między dobrem a złem" insc. wg Michała Choromańskiego (L, ogólnopolski), 21.45 „Do rodziców i wychowawców" (L, ogólnopolski), 22.15 Ostatnie wiadomości (W).

24. VI. — SOBOTA

17.40 Program dnia (L), 17.45 „Paragraf i fajka" (W), 18.00 Telekonkurs dla młodzieży (W), 19.30 Dziennik telewizyjny (W), 20.00 „Pegaz" Mag. — kultur. 20.30 „Jednodniowi milionerzy" — Film fabularny prod. franc dozw. dla młodzieży (W), 22.15 Ostatnie wiadomości (W), 22.20 „Stokrotki ogrodnika Barnaby" — program rozrywkowy (W).

25. VI. — NIEDZIELA

12.05 Program dnia (L), 12.10 „Muzyka dla ciebie" (P), 13.00 Film z serii „Disneyland" pt. Rusty i Sokół (W), 13.50 „Pod polską banderą" — reportaż z Gdyni (Gdańsk), 14.50 Niedzielna biesiada (W), 16.00 Program dla dzieci — „W Wojtusiowej izbie" (W), 16.30 „Miś z okienka" (W), 16.45 „Ze świata operetki" — teleturniej (W), 17.45 PKF (W), 18.00 Sprawozdanie sportowe (Kat), 19.50 Dziennik telewizyjny (W), 20.35 „Muzyka łatwa, lekka i przyjemna" — koncert rozrywkowy (L).

— Mimo wszystko rytm funkcjonowania ośrodków neuronów w mózgu ma u ludzi cechy podobne.

— Wszakże jak dotychczas sprawa nie posunęła się dalej poza analizę matematyczną — rzekł ktoś bezbarwnym głosem.

— To tylko kwestia czasu. W danym przypadku doświadczenia pośrednie mają o wiele większe znaczenie, niż doświadczenia bezpośrednie. Nikt nie odważy się wstawić ci do mózgu elektrody i obserwować, jakie wywołuje ona w nim impulsy, ponieważ uszkodziłoby to sam mózg, a w następstwie zlikwidowałoby także impulsy. Co innego generator, w którym można regulować w szerokich zakresach modulacji częstość kodu impulsów. Pozwala to dokonywać doświadczenia bez naruszania struktury mózgu jako całości.

— Jak by to powiedzieć — odezwał się ktoś tym samym wciąż bezbarwnym, znużonym głosem. — Rozumowanie twoje przeczy przypadkowi, jaki miał miejsce z Gorenem i z Voydem. Pierwszy zmarł w przeciągu dziesięciu sekund od chwili, gdy został umieszczony w polu o modulacji częstotliwości, w których dziesięć kolejnych sygnałów napięcia następowało z częstotliwością siedmiuset herców z przerwami, trwającymi pięć dziesiątych sekundy. Drugi natomiast tak wył z bólu, że trzeba było natychmiast wyłączyć generator. Zapominacie o podstawowym twierdzeniu neuro-cybernetyki, że we włóknach neuronów, które istnieją w organiźmie człowieka, powstaje olbrzymia ilość obwodów. Biegnące po nich impulsy charakteryzuje specyficzna częstotliwość oraz każdorazowo swoisty kod. Wystarczy popaść w rezonans z dowolnym z tych obiegów, a obwód może wzbudzić się do stanu wprost niewiarogodnego. Jeśli można tak rzec — doktor działa na ślepo. I to, że jeszcze żyjecie, to po prostu przypadek.

W tym momencie rozmowy otworzyłem oczy. Pokój, w którym znajdowałem się, przypominał wielką salę szpitalną z łóżkami ustawionymi wzdłuż ścian. Po środku stał duży, drewniany stół, na którym poniewierały się resztki jedzenia, puszki po konserwach, niedopałki papierosów i kawałki papieru. Dźwignąłem się na łokciach i rozejrzałem się wkoło. Rozmowa od razu urwała się.

— Gdzie ja jestem? — wyszeptałem, obrzucając spojrzeniem wpatrzonych we mnie ludzi.

Usłyszałem, jak ktoś za moimi plecami powiedział: „Ten nowy przyszedł już do siebie..."

— Gdzie ja jestem? — powtórzyłem pytanie zwracając się do wszystkich naraz.

— Jak to, nie wie pan? — spytał mnie młody człowiek siedzący na prawo ode mnie na łóżku w samej bieliźnie.

— Tu jest firma Kraftstudta, naszego stwórcy i nauczyciela.

— Stwórcy i nauczyciela? — wybąknąłem, przecierając sobie dłonią czoło. Głowę miałem ciężką, jakby nalaną ołowiem. — Jakiż tam z niego nauczyciel. To zbrodniarz wojenny.

— Zbrodnia, przestępstwo — to pojęcia względne. Wszystko zależy od celu, w imię którego dokonuje się czegoś. Jeśli cel jest wzniosły, każdy postępek jest dobry — wypalił mój sąsiad z prawej.

— Gdzie się pan nauczył takich mądrości, młody człowieku? — spytałem zwracając się do niego.

— Pan Kraftstudt — nasz stwórca i nauczyciel — nagle zaczęli powtarzać jeden przez drugiego wszyscy obecni.

A więc, rzeczywiście trafiłem do „przybytku mędrców" — pomyślałem sobie z goryczą.

— No tak, panowie. Źle jest z wami, jeśli wygadujecie takie rzeczy — powiedziałem przypatrując im się kolejno.

— Idę o zakład, że u tego nowego, matematyka znajduje się w przedziale częstotliwości od dziewięćdziesięciu do dziewięćdziesięciu pięciu herców! — zawołał podnosząc się na łóżku otyły jegomość.

— Uczucie bólu zaś można u niego wywołać przy częstotliwości nie większej od stu czterdziestu herców jednostajnie przyśpieszonego kodu impulsów! — zawołał inny.

— Spać natomiast można by go przymusić seriami sygnałów po ośiem impulsów na sekundę z dwusekundową przerwą po każdej serii!

— Jestem przekonany, że ten nasz nowy będzie odczuwał głód przy wzbudzeniu impulsowym o częstotliwości stu trzech herców przy logarytmicznym wzroście natężenia impulsów!

Zdarzyło się najgorsze, co mogłem sobie wyobrazić. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy oni byli niespełna rozumu. Dziwnym mi się wydało tylko jedno — wszyscy mówili o tym samym, o jakichś kodach i impulsach, mając przez cały czas na uwadze moje doznania. Obstąpili mnie i patrząc mi prosto w oczy wymieniali głośno jakieś cyfry, wspominali coś o modulacjach i sile natężenia, snując przypuszczenia, jak będę się zachowywał „pod generatorem" i „między ściankami" i jakie napięcie będzie potrzebne w moim przypadku.

Wiedząc na podstawie literatury, że z wariatami lepiej nie zaczynać, możliwie jak najdelikatniej zwróciłem się do swego sąsiada, siedzącego na łóżku na prawo ode mnie. Wydał mi się bardziej normalny od reszty.

— Niech mi pan powie, o czym to panowie wciąż mówią? Jestem zupełnym profanem w tych sprawach. Jakieś tam kody, impulsy, neurony, bodźce...

Cały pokój zagrzmiał śmiechem. Mieszkańcy jego aż się zataczali, kiwając się to w przód to w tył, obejmując się wzajemnie rękami i nachylając niemal do podłogi. Śmiech nie przestawał rozbrzmiewać wówczas, gdy pełen oburzenia wstałem i chciałem na nich krzyknąć.

— Obwód czternasty. Częstotliwość osiemdziesiąt pięć herców! Wzbudzenie uczucia gniewu! — zawołał któryś z nich i śmiech stał się jeszcze bardziej homeryckl.

Wówczas usiadłem na swym łóżku, oczekując aż się uspokoją.

Pierwszy ochłonął mój sąsiad z prawej. Podszedł do mnie, usiadł obok i spojrzał mi prosto w oczy.

— To rzeczywiście nic nie wiesz?

— Słowo honoru, nic nie wiem. I nie rozumiem ani słowa z tego co mówicie.

— No więc dobrze. Wierzymy ci, chociaż to przypadek bardzo rzadki. Denis, wstań i opowiedz nowemu, dlaczego tu jesteśmy.

— Tak, Denis, opowiedz mu. Niechże i on będzie tak jak my szczęśliwy.

— Szczęśliwy? — zdziwiłem się. — Czy panowie są szczęśliwi?

— Oczywiście, naturalnie! — zawołali chórem. — Przecie osiągnęliśmy próg doskonałości. Największą rozkoszą dla człowieka jest poznanie samego siebie.

— Czy to znaczy, że przedtem panowie nie znali samych siebie? — wyraziłem zdziwienie.

— Oczywiście, że nie. Ludzie nie znają samych siebie. Tylko ci, którzy zapoznali się z neuro-cybernetyką, tylko ci mogą poznać siebie.

Ten, którego nazwano Denisem, podszedł do mnie, usiadł na łóżku na przeciwko mnie i tępym, znużonym głosem zapytał:

— Jakie masz wykształcenie?

— Jestem profesorem fizyki.

— A czy znasz się na biologii?

— Bardzo powierzchownie.

— A na psychologii?

— Jeszcze mniej.

— Na neuropsychologii?

— W ogóle się nie znam.

— A na cybernetyce?

— Kiepsko.

— Na neuro-cybernetyce i na ogólnej teorii regulacji biologicznej?

— Nie mam o tym zielonego pojęcia.

W pokoju rozległ się szmer zdumienia.

— To źle — tępo odburknął Denis. — Nic nie zrozumie.

— Niech pan już opowiada! Postaram się zrozumieć.

— Zrozumie po pierwszych dwudziestu seansach z generatorem! — zawołał któryś.

— Ja już po pięciu zrozumiałem! — zawołał inny.

— Będzie jeszcze lepiej, jeśli ze dwa razy znajdzie się między ściankami.

— Wszystko jedno, Denis, niech pan opowiada — nalegałem.

Czułem jak opanowuje mnie zgroza.

— A więc, czy rozumiesz, co to jest życie?

Długo siedziałem, patrząc w milczeniu w oczy Denisowi.

— Wytłumacz mu, Denis — zawołał ktoś.

— Więc dobrze. Słuchaj. Życie, jest to nieprzerwany obieg zakodowanych bodźców elektrochemicznych w systemie neuronów twojego organizmu.

Zamyśliłem się. Obieg bodźców w siatce neuronów. Gdzieś, kiedyś słyszałem już coś podobnego.

— Wszystkie twoje doznania, które stanowią istotę twojego duchowego „ja" — to impulsy elektrochemiczne, przekazywane przez receptory do wyższych regulatorów mózgu i po przetworzeniu powracające do efektorów.

— Tak. I co dalej?

— Każde doznanie odbierane ze świata zewnętrznego jest przekazywane przez włókna nerwowe do mózgu. Jedno doznanie różni się od drugiego wzorem kodu, jego częstotliwością, jak również szybkością, rozchodzenia się. Te trzy wskaźniki określają wartość, siłę natężenia i czas ciągły doznania. Zrozumiałeś?

— Powiedzmy.

— Jak więc z tego wynika, życie to nic innego, jak przekazywanie zakodowanych informacji w siatce nerwów. Ani więcej ani mniej. Myślenie to nic innego, jak obieg częstotliwie modulowanych informacji w obwodach neuronów i w centralnych ośrodkach systemu nerwowego, w mózgu.

— Nic z tego nie rozumiem — przyznałem się.

— Mózg składa się mniej więcej z dziesięciu miliardów neuronów, będących odpowiednikami przekaźników elektrycznych. Połączone są one w grupy i obwody włóknami, nazywanymi aksonami. Poprzez aksony bodźce przekazywane są kolejno od jednego do drugiego neuronu, od jednej do następnej grupy. Wędrówka bodźców poprzez neurony to jest właśnie myśl.

— Dobrze, przypuśćmy, że masz rację. Co z tego wynika? — zapytałem Denisa.

— To, że życie można kształtować, jak się chce. Przy pomocy generatorów, pracujących jako impulsowe i przekazujących sygnały odpowiednich kodów do obwodów neuronów. Ma to olbrzymie znaczenie praktyczne.

Jakie? — szepnąłem, mając wrażenie, że za chwilę usłyszę coś takiego, co mi odsłoni tajemnicę firmy Kraftstudta.

— Najlepiej dałoby się to wytłumaczyć — mówił dalej Denis — na przykładzie stymulacji działań matematycznych. W chwili obecnej w krajach zacofanych buduje się tak zwane elektronowe matematyczne maszyny cyfrowe. Ilość trygerów lub przekaźników elektrycznych składających się na owe maszyny nie przekracza pięciu — dziesięciu tysięcy. Ośrodki mózgu człowieka zaangażowane w procesach obliczeniowo-matematycznych posiadają około miliarda takich trygerów. Nikt i nigdy nie będzie w stanie zbudować maszyn o takiej ilości trygerów.

— Więc co z tego?

— A to, że o wiele korzystniej jest posługiwać się w rozwiązywaniu zadań matematycznych aparatem, stworzonym przez samą naturę, a znajdującym się, o tutaj — Denis przeciągnął dłonią, po czole ponad łukami brwi — niż budować żałosne i bardzo kosztowne maszyny.

— Ale maszyny pracują szybciej! — zawołałem. — Neuron, o ile mi wiadomo, może być wprawiony w ruch z częstotliwością nie większą, niż dwieście razy na sekundę, podczas gdy tryger elektronowy z częstotliwością milionów razy na sekundę. Dlatego też maszyny pracujące z tak błyskawiczną szybkością są dużo wygodniejsze.

Cała sala rozbrzmiała znowu śmiechem. Tylko Denis zachował powagę.

— To nie tak. Neurony także można zmusić do pracy z dowolną prędkością, jeśli będzie się przekazywało do nich impulsy o dostatecznie wysokiej częstotliwości. Można dokonywać tego z pomocą generatora elektrostatycznego, pracującego jako impulsowy. Jeśli mózg umieścić w polu działania takiego generatora, można go przymusić do pracy z żądaną prędkością.

— Ach, więc to w ten sposób firma Kraftstudta zbija pieniądze! — zawołałem i skoczyłem na równe nogi.

— To nasz nauczyciel — wszyscy zawołali nagle chórem. — Powtarzaj z nami: to nasz nauczyciel!

— Nie przeszkadzajcie mu, niech to zrozumie — nieoczekiwanie krzyknął na nich Denis. — Przyjdzie czas, że i on zrozumie, iż pan Kraftstudt, to nasz nauczyciel. Na razie w niczym się nie orientuje. Słuchaj dalej. Każde doznanie człowieka ma właściwy sobie kod, swoją siłę natężenia i czas trwania. Uczucie szczęścia — to częstotliwość pięćdziesięciu pięciu herców na sekundę z przedziałami kodowymi po sto impulsów. Uczucie rozpaczy — częstotliwość sześćdziesięciu dwóch herców na sekundę z przerwami wartości jednej dziesiątej sekundy między seriami. Uczucie radości — częstotliwość czterdziestu siedmiu herców ze wzrastającą siłą natężenia impulsów. Uczucie smutku — częstotliwość dwustu trzech herców, bólu — stu dwudziestu trzech herców, miłości — czternastu herców, natchnienia poetyckiego — trzydziestu jeden, gniewu — osiemdziesięciu pięciu, znużenia — siedemnastu, senności — ośmiu i tak dalej. Zakodowane impulsy w przedziałach tych częstotliwości przebiegają przez właściwe sobie obwody neuronów, dzięki temu właśnie człowiek doznaje tych wszystkich uczuć, które tutaj wymieniłem. Wszystkie te uczucia można wywołać przy pomocy generatora pracującego jako impulsowy, a zbudowanego przez naszego nauczyciela. To on otworzył nam oczy na to, czym jest życie.

Po tych wyjaśnieniach wszystko mi się w głowie pomieszało. Nie byłem w stanie tak od razu połapać się w tym wszystkim. W głowie miałem jeszcze uczucie szumu po narkozie, jaka poczęstowano mnie w gabinecie Kraftstudta. W pewnej chwili poczułem tak wielkie znużenie, że położyłem się na łóżku i zamknąłem mocno oczy.

— Dominuje w nim częstotliwość siedmiu — ośmiu herców. Sen go morzy! — rzekł głośno któryś.

— Niech sobie pośpi. Jutro zostanie pobudzony do życia. Wezmą go jutro pod generator.

— Nie, jutro zrobią mu spektrum. Opracują jego dane. Może ma jakieś odchylenia od normy.

To były ostatnie słowa, jakie dotarły jeszcze do mojej świadomości.

Człowiek, z którym spotkałem się nazajutrz, wydał mi się początkowo sympatyczny i mądry. Gdy wprowadzono mnie do jego gabinetu na drugim piętrze w głównym gmachu firmy, wyszedł mi naprzeciwko z twarzą uśmiechniętą szeroko i z wyciągniętą dłonią.

— A, profesor Rauch, bardzo mi miło.

— Dzień dobry — odrzekłem powściągliwie. — Z kim mam przyjemność?

— Niech mnie pan nazywa zwyczajnie — Bolz, Hans Bolz. Szef mój zlecił mi dosyć przykre zadanie, mam w jego imieniu przeprosić pana.

— Przeprosić? Czyżby waszego szefa mogły dręczyć jakieś wyrzuty sumienia?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem, Rauch. Niemniej mam panu przekazać w jego imieniu szczere ubolewania z powodu zaszłych wypadków. Uniósł się. Nie lubi, gdy mu ktoś wypomina przeszłe sprawy.

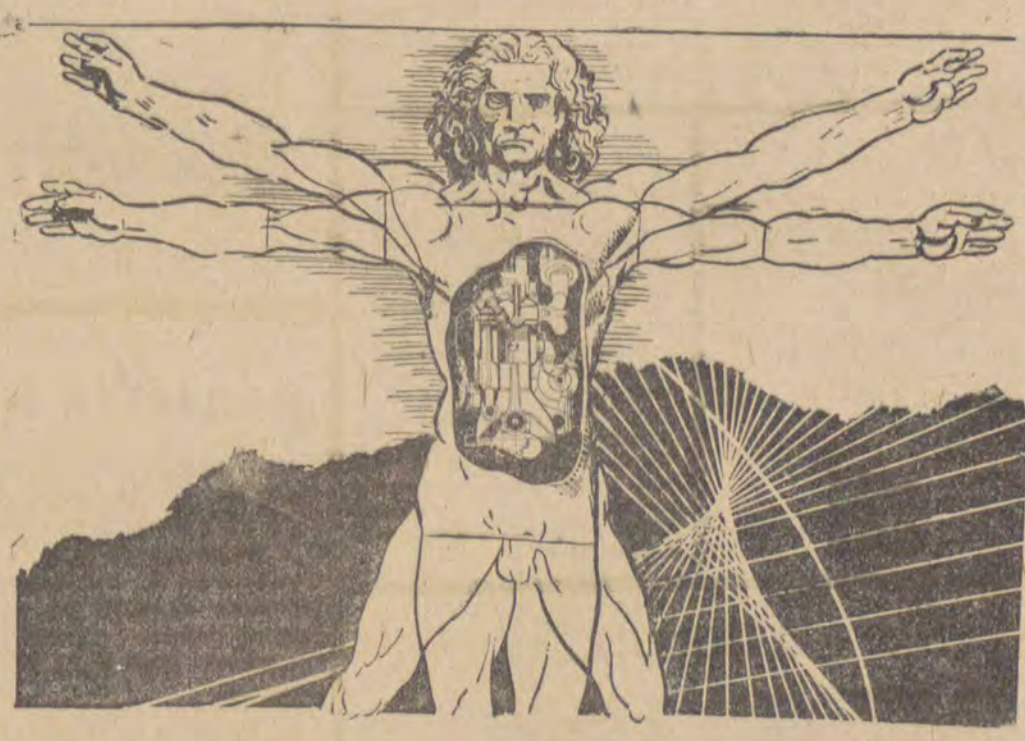

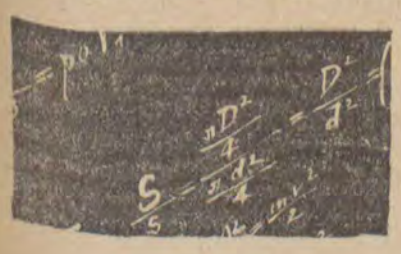

d.c.n.

ODGŁOSY tygodnia

Ubiegły tydzień minął pod znakiem *DNI ZIEMI ŁÓDZKIEJ*. „Odgłosom tygodnia" udzielił się nastrój wojewódzkiego fajerwerku

CZERWONY KUR CZYHA

W związku z Dniami Ochrony Przeciwpożarowej otrzymaliśmy od kierownictwa Straży mnóstwo materiałów propagandowych, z których wybieramy do upowszechnienia co bardziej sugestywne slogany:

— Wadliwy komin przyczyną twego nieszczęścia.
— Wiadro wody w potrzebie może mieć wartość całego twego mienia.
— Obywatelu! Zostań strażakiem.
— Warty nocne zapewnią spokój mieszkańcom wsi i miasteczek.
— Kobieto — ty także możesz brać udział w gaszeniu pożarów, wstąp w szeregi OSP.
— Las rośnie wolno — pali się szybko.
— Nie chcesz zostać nędzarzem, chowaj zapałki.
— Gdy zawiedzie ludzka czujność, potrzebna jest szybka i skuteczna akcja gaśnicza.
— Maszynisto — nie rusztuj paleniska i nie otwieraj popielnika jadąc przez las.
— Łatwiej zreperować komin niż zbudować nowy dom.
— Uporządkuj strych! Nie prowokuj ognia!
— Niech ani jeden pożar nie zakłóci nam spokoju codziennego życia.
— Nie wchodź z papierosem do stodoły, bo przez zapomnienie rzucisz niedopałek i spowodujesz pożar.

PATYCZKI LUCYFERA

Przemysł zapałczany dostarczył polskim humorystom tematów do wielu dowcipów, opowiastek i wesołych rysuneczków. Każdy kto choć raz miał w ręku pudełko z zapałkami wie, ile wysiłku trzeba włożyć, aby wykrzesać ogień przy ich pomocy. Tymczasem kroniki Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnych w Łodzi notują wprost niewiarygodne zdarzenia. Otóż w trzech sklepach Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" zapałki zapaliły się same. O mały włos nie wybuchły pożary. Na szczęście zapaliły się one w obecności ekspedientek i te zdołały szybko ugasić je wodą.

Nie udało się ustalić przyczyn tych dziwnych zjawisk. Komenda Wojewódzka Straży Pożarnych w Łodzi wystąpiła do zakładów przemysłu zapałczanego w Sianowie i Czechowicach o wstrzymanie dystrybucji zapałek do czasu wyjaśnienia tajemniczej zagadki.

WIEŚCI Z KOMBINATU

Jedyną kobietą na budowie kombinatu bawełnianego w Zduńskiej Woli jest inż. Danuta Rusecka. Oczywiście na razie, bo z chwilą uruchomienia kombinatu w 1962 r. będzie tu pracowało ponad 1,5 tys. kobiet tkaczek i prządek. Podania o przyjęcie do pracy w przyszłym kombinacie napływają już w tej chwili.

Kombinat będzie liczył 734 zautomatyzowane krosna i 30 tys. wrzecion. Powierzchnia kombinatu — 174 tys. m kw., koszt budowy ok. 400 mln. zł.

NA RYNKU PRACY

W województwie łódzkim poszukuje pracy ok. tysiąca mężczyzn i ponad trzy tysiące kobiet. Natomiast liczba wolnych miejsc ogółem nie przekracza tysiąca. Np. w pow. radomszczańskim na 36 wolnych miejsc poszukuje pracy 119 mężczyzn i 380 kobiet, w pow. bełchatowskim nie ma w ogóle wolnych miejsc — ogółem poszukuje tu pracy 193 mężczyzn i 229 kobiet. W innych powiatach jest podobnie. Co robią w tej sytuacji wydziały zatrudnienia? Zwiększają zatrudnienie na funduszu interwencyjnym, wynosi on 11.381 tys. zł dla całego województwa, rozwijają akcję werbunkową do pracy na wyjazd i dokonują śmiałych eksperymentów. Np. w kilkunastu zakładach przemysłowych na terenie Piotrkowa, Tomaszowa, Pabianic dokonano zmiany miejsc pracy: zamiast mężczyzn stanęły za warsztatem kobiety i trzeba powiedzieć, zdały egzamin na piątkę.

Mężczyźni przeszli do innej pracy w przemyśle. Zielone światła dla eksperymentów.

JADĄ NA ZACHÓD

W r. ub. przesiedliło się z woj. łódzkiego do województw zachodnich ok. 90 rodzin chłopskich. Najmniej bo tylko jedna rodzina przesiedliła się z pow. poddębickiego, stosunkowo najwięcej rodzin chłopskich wyjechało na ziemie zachodnie, z pow. pajęczańskiego i łaskiego — po 14 rodzin. Chłopi przeważnie osiedlali się w PGR woj. zielonogórskiego i opolskiego, a tylko niektórzy spośród nich kupowali na własność gospodarstwa za kredyty bankowe. Warto dodać, że w r. ub. wyjechało również z pow. łaskiego na osiedlenie się w pow. Krosno Odrzańskie 9 rodzin nauczycieli.

INTERES SPOŁECZNY

W Łasku opowiadano nam znamienną historię: przewodniczący Gromadzkiego Komitetu FJN w Wrzeszczewicach, Jan Kulesza długo zabiegał o elektryfikację Wrzeszczewic i nie pogniewał się, gdy cała wieś w lutym br. otrzymała światło elektryczne a jego zabudowania stojące nieco na uboczu będą zelektryfikowane później. Interes społeczny wziął górę nad interesem osobistym.

Z MYŚLĄ O WESELU

Józefa Ochocka i Wiesława Krawczyńska — kasjerki Biura Zbytu Drewna nr 1 w Sieradzu fałszując rachunki i kwity przywłaszczyły razem z kilkoma wspólnikami ok. 57 tys. zł. Złym duchem była kasjerka Teresa Felis, która — jako kobieta z głową — opracowała nawet nowy system fałszowania kwitów i pouczyła o technice fałszowania rachunków Wiesławę Krawczyńską, ta zaś z kolei Józefę Ochocką. Przed sądem pow. w Sieradzu Krawczyńska i Ochocka zeznały, że za przywłaszczone pieniądze chciały urządzić wystawne wesele i w ogóle prowadzić życie na takim poziomie.

Sąd jednakże wymierzył aferzystkom kary więzienia.

ZBIERACZ

Ob. Bagrowski dostawca i zbieracz odpadków użytkowych dla GS w Rzgowie odznaczał się nie lada pomysłowością. Legitymując się zaświadczeniem GS nabył on od Łódzkich Zakładów Gumowych 10.000 szt. worków po 3 zł za kilogram. Po zrefakturowaniu worków przez GS niemal od ręki sprzedał je dla jednej z państwowych cegielni koło Łodzi zarabiając na czysto 60 tys. zł.

W jednej z jednostek wojskowych wybrakowano 10 ton butów. Bagrowski płaci od 25—30 gr za kilogram. Pięć ton butów sprzedaje Gminnej Spółdzielni w Rawie Mazowieckiej, licząc po 5 zł za parę, resztę chłopom indywidualnym po 20—30 zł za parę. Zysk, bagatelka, ok. 25 tys. złotych.

Niestety, po dniach tłustych nadeszły dla pomysłowego zbieracza dni chude. Wypadnie odpokutować za kratką.

LECIWA STARUSZKA

„Ja i żona jesteśmy głuchoniemi — pisze Jan L. ze wsi Drzewociny do PPRN w Łasku — mamy też wielkie kłopoty z 77-letnią matką, która chodzi na żebry po wsiach a uzbierane pieniądze przepija. Czasem nawet podbiera jaja z kurnika, byle mieć na wódkę. Pewnego razu była tak pijana, że musiała ją odwieźć do domu karetka pogotowia. Proszę ją zabrać do domu opieki".

Sądzimy, że prośbie tej stanie się zadość.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot. Włodzimierz Parys

NAJLEPSZA W KRAJU

Kto? Biblioteka Powiatowa w Sieradzu, która we współzawodnictwie bibliotecznym za r. ub. zdobyła pierwsze miejsce w kraju i w województwie. Z jej księgozbiorów korzysta ponad 11 tys. czytelników. Poza tym biblioteka urządziła na wsi sieradzkiej 91 wystaw książek rolniczych, zorganizowała wieczornice literackie i odczyty popularnonaukowe.

Od trzynastu lat nawą sieradzkiej biblioteki dzielnie kieruje zapalona miłośniczka książki p. Eugenia Wojciszewska.

LAUREATKA Z MONIC

W niewielkiej wsi Monice koło Sieradza mieszka i tworzy przecudne kilimy w kolorowym stylu sieradzkim p. Józefa Chaładajowa, gospodyni wiejska.

Kilimy jej kompozycji wykonane chałupniczo na zamówienie spółdzielni „Sztuka Sieradzka" można było m. in. podziwiać nie tylko w regionalnym muzeum sieradzkim, ale i na powojennej wystawie światowej sztuki regionalnej w Brukseli, gdzie Chaładajowa zdobyła złoty medal.

MŁODE KADRY

Młodzież Technikum Rolniczego w Sędziejowicach pow. łaski nie zasypia gruszek w popiele. Technikum jako trzecie w kraju prowadzi niezagruźliczoną hodowlę bydła oraz rozwija u siebie wychów zimny trzody chlewnej i produkcje pokazowe kiszonek z kukurydzy. W zeszłym roku młodzieżowa grupa uprawowa walnie przyłożyła się do przekroczenia przeciętnej krajowej w zbiorach czterech zbóż, osiągając zamiast przewidywanych 24 q, 27 q zboża z ha. W tym roku obiecuje poprawić wyniki.

JUBILEUSZ

Do najstarszych kółek rolniczych w woj. łódzkim należy kółko w Szadku. Powstało ono w 1910 r.; a jego założycielami byli m. in. najstarsi członkowie obecnego kółka: Wesołowski, Dziamiarski, Kwieciński.

Przed wojną kółko zbudowało w Szadku mleczarnię i przeprowadziło melioracje gruntów. Dzisiaj liczy ono 45 członków, ma własną bibliotekę, świetlicę, amatorski zespół artystyczny i dysponuje dwoma pełnymi zestawami maszyn rolniczych wartości 330 tys. złotych.